



OSIEDLE GORNICZE



CAF

Na Śląsku znikają w szybkim tempie nędzne, wilgotne rudery — dziedzictwo mieszkaniowe sprzed wojny. Oto fragment nowego osiedla imienia wielkiego polskiego rewolucjonisty i patrioty Juliana Marchlewskiego w Katowicach.

NOWY ROK DZIECI



WL. PIOTROWSKI

Dzieci polskie radośnie przywitały Nowy Rok, a Nowy Rok powitał dzieciarnię wesołymi zabawami, które obfitowały w miłe niespodzianki. Rok 1952 obdarował dzieci pięknymi upominkami — zabawkami i ciekawymi książkami.

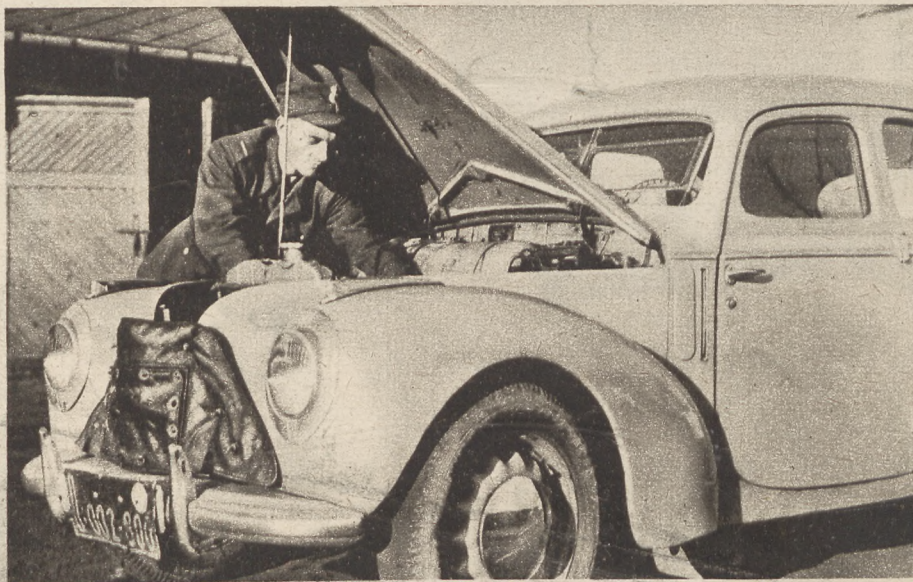
W OBRONIE POKOJU



KEYSTONE

Wielki uczony francuski, Przewodniczący Światowej Rady Pokoju, niezmordowany bojownik o pokój i postęp, profesor Fryderyk Joliot-Curie, przemawia na zebraniu delegatów Francuskiego Komitetu Obrońców Pokoju, które odbyło się niedawno w wielkiej hali Velodrome d'Hiver w Paryżu.

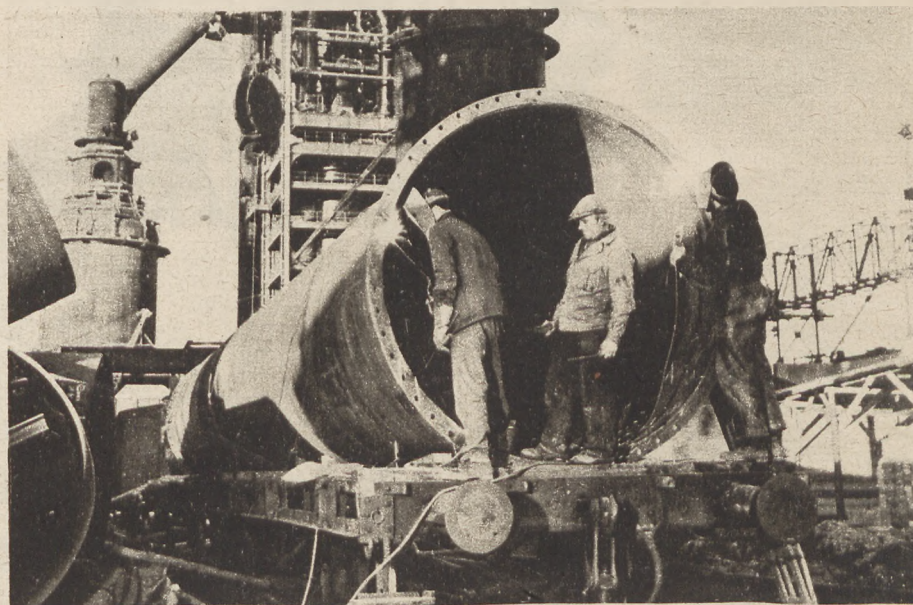
WZOROWY KIEROWCA



WAF

Starszy szeregowiec, Stanisław Kundzier, jest przodownikiem wyszkolenia w jednostce samochodowej Wojska Polskiego. Młody żołnierz, członek Związku Młodzieży Polskiej, syn kolejarza, jest wzorowym kierowcą.

NA BUDOWIE HUTY IM. GOTTWALDA



CZECHOPRESS

Największą budowlą socjalizmu w Czechosłowacji jest huta im. Prezydenta Gottwalda. Robotnicy całego kraju pomagają przy jej budowie. Spawacze z praskich zakładów Dukla zastosowali pomysł racjonalizatorski, polegający na montowaniu wielkich cylindrów stalowych dla huty na wagonach kolejowych.

GWAŁTY BRYTYJSKIE W EGIPCIE TRWAJĄ



KEYSTONE

„Ręce do góry!” — Żołnierze brytyjscy zatrzymują autobusy egipskie w strefie Kanału Sueskiego i brutalnie rewidują wszystkich pasażerów. Na znak

protestu przeciwko gwałtom popełnianym nieustannie przez wojska brytyjskie w Egipcie, rząd egipski odwołał swego ambasadora w Londynie.

DEMONSTRACJE W ATENACH



Studenci uniwersytetu w Atenach demonstrowali domagając się zwrócenia Grecji wyspy Cypr,

która jest kolonią brytyjską. Policja usiłowała rozproszyc demonstrantów oblewając ich wodą.

ROKOWANIA W PANMUNDŻON



KEYSTONE

Członkowie delegacji koreańskiej udają się na kolejne posiedzenie w Panmundżon, zaopatrzeni w wielkie teki, zawierające mapy, na których wyznaczono linię demarkacyjną. Rokowania prowadzo-

ne o zawieszenie broni w Korei uległy ponownie przedłużeniu. Stało się to na skutek demagogicznych żądań delegatów amerykańskich. Delegacja amerykańska wielokrotnie już utrudniała petraktacje.

ZAGINIONY AMBASADOR

czyli

historia jednego łgarstwa



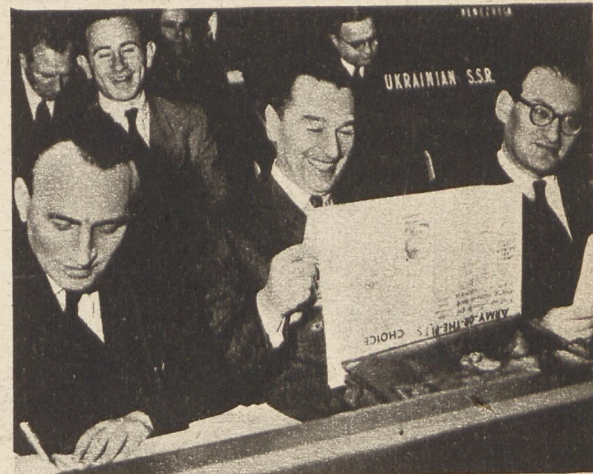
Paryż. Pałac Chaillot. Sesja ONZ. Delegacja polska: od prawej ku lewej: minister Wierbłowski, dr Suchy, ambasador Michałowski, ob. Birecki.



W kilka dni później. Orli wzrok reakcyjnych dziennikarzy pada na ławy delegacji polskiej. Miejsce ambasadora Michałowskiego puste! Dzwonią telefony...

M. MIKHAILOVSKI
ambassadeur de Pologne à Londres
et délégué à l'O.N.U.
AURAIT DISPARU

6 grudnia. W reakcyjnym dzienniku „Franc-Tireur” sensacyjny nagłówek: „Ambasador Michałowski zaginął”. Treść: Zaginął przed 15 dniami. Zona twierdzi, że jest w szpitalu. Nie natrafiono na jego ślad w żadnym ze szpitali paryskich. Co gorsza, z kolei zginęła pani Michałowska. „Podkreśla się, że ambasador Michałowski był w doskonałych stosunkach z członkami delegacji brytyjskiej...” „Domyślcie się, jaki los spotkał ambasadora...?”



Nazajutrz. Ambasador Michałowski, ubawiony, czyta wiadomość o swym zaginięciu. Prasa postępuje wykpiwa reakcyjne plotki. Nie ma rady. „Franc-Tireur” musi odszczekać łgarstwo. Nie udało się...



BUDOWNICZY POLSKI LUDOWEJ

Prezydent Bierut nadał Ministrowi Obrony Narodowej, Marszałkowi Polski, Konstantemu Rokossowskiemu, najwyższe odznaczenie państwowe — Order „Budowniczych Polski Ludowej”. Odznaczenie zostało nadane w związku z 55 rocznicą urodzin Marszałka K. Rokossowskiego za wybitne zasługi w walce o wyzwolenie Polski Ludowej i w pracy nad umocnieniem sił Wojska Polskiego.



OKRAĞŁY TYSIĄC

„A więc dziś wieczorem idziemy do kina“. — W decyzji tej pozornie nie ma nic nadzwyczajnego — podejmuje ją przecież w Polsce 12 milionów ludzi miesięcznie. Dziś jednak „ŚWIAT“ wysłał swych specjalnych sprawozdawców — Lucjana Wolanowskiego (pióro) i Jana Kosińskiego (kamera) do wsi Kołaki w białostocczyźnie, gdzie czynne jest już...

1000 -ne stałe kino wiejskie. 21 grudnia ub. r. całe Kołaki i ich najbliższa okolica przygotowywały się do pójścia do swego kina po raz pierwszy. Trzeba to brać dosłownie — olbrzymia większość mieszkańców wsi nigdy jeszcze nie była w kinie. Wybierali się więc na film starzy chłopcy z tą samą ciekawością i głodem nowości, co dzieci szkolne, które też jeszcze w swym krótkim życiu kina nie widziały.

Stanisław Karaszewski, prowadząc lekcje w szkole, spoglądał nerwowo na zegarek — przecież to jemu powierzono obsługę precyzyjnego, wąskotaśmowego, całkowicie w Łodzi wyprodukowanego aparatu. Edward Dąbrowski, pomagający ojcu w gospodarstwie, dał w południe paszy zwierzętom i też szybkim krokiem poszedł do kina, gdzie obsługuje agregat, który — wieś nie ma jeszcze prądu — dostarcza elektryczności do projektora i oświetlenia widowni.

PRZEZ 4 OKIENKA

Stałe kino mieści się w odpowiednio przystosowanej remizie strażackiej. Przez cztery okienka, wybite w ścianie dzielącej salę od kabiny projekcyjnej, Karaszewski i Dąbrowski patrzą, jak widownia wypełnia się szybko tłumem chłopów, rozmawiających półgłosem w oczekiwaniu wielkiego wydarzenia.

Na scenie tańczyły najpierw chłopskie córki,

uczące się teraz w liceum w Łomży; później minister Stefan Dybowski przeciął wstęgę jedwabną — i między kółkami aparatu projekcyjnego ruszyła wstęga filmowa.

Mieszkańcy wsi Kołaki nie wiedzieli do niedawna wiele o otaczającym ich świecie. Mijały stulecia — a oni we wsi się rodzili, we wsi pracowali ciężko, by po znojmym życiu kłaść się na spoczynek na wiejskim cmentarzu — o, tam — niedaleko od remizy strażackiej. Daleki świat — to dla nich był wyjazd na jarmark do pobliskiego Zambrowa, albo do urzędu w Łomży, albo za jakąś wyjątkową sprawą do Białegostoku. Daleki świat nosił w sobie kiedyś znamiona nieszczęścia; to wojna popędziła za caratu kilku kołackich chłopów aż na śnieżne pola Mandżurii, to wojna ruszyła ich z ojcowizny i popędziła na roboty do hitlerowskich Niemiec.

I oto raptem daleki świat sam przyszedł do wsi — tym razem już nie z wojną, ale z postępowaniem — z aparatem dwaj „tutejsi“ — rolnik i nauczyciel, wyszkoleni na specjalnych kursach.

SZEROKI ŚWIAT NA WĄSKIEJ TAŚMIE

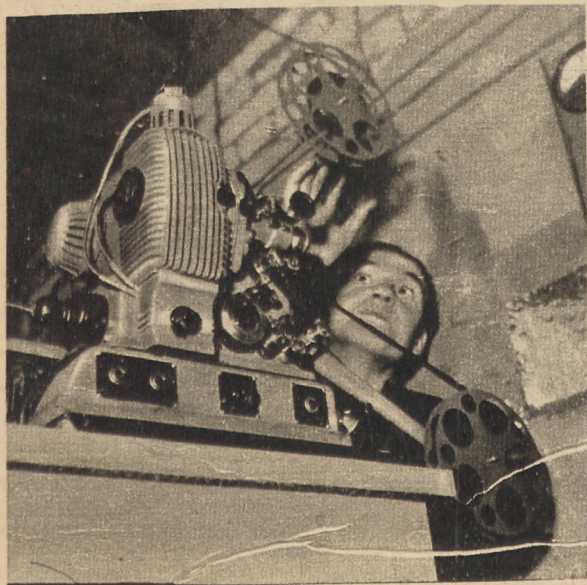
Przed wojną zaglądał do wsi wędrowny iluzjonista. Był to biedak, mający za cały majątek jeden lub dwa nieme, rwące się ustawicznie po latach eksploatacji filmy. Chłopi płacili za wstęp 5 ja-

jek i oglądali dramaty z życia „wvższych sfer“, krwawe tragedie w sześciu pokojach z kuchnią, które iluzjonista sam komentował wobec analfabetyzmu większości widzów.

Teraz w Kołakach w każdą sobotę i niedzielę, za złoty dwadzieścia — młodzież i członkowie ZSCh płacą połowę! — przewija się przed widzami 3 km. wąskiej, niepalnej taśmy, opowiadającej o życiu w Polsce i na szerokim świecie i przynoszącej jeden pełnometrażowy utwór filmowy, który równocześnie albo niewiele wcześniej wszedł na ekrany kin miejskich. Przeglądałem listę repertuarową: pozycje poważniejsze na piątkę z plusem, natomiast z komedią jest prawdziwa tragedia! Również i w kinach wiejskich daje się bowiem odczuć brak lepszych pozycji, ciężący nad całą polską produkcją filmową.

A NUMER JEGO CZTERDZIEŚCI I CZTERY

Pierwsze stałe kino wiejskie w Polsce otworzyło 1 kwietnia 1950 roku w województwie zielonogórskim. Kino w Kołakach jest tysięcznym w Polsce a czterdziestym czwartym w białostocczyźnie, która była przecież niegdyś twierdzą upośledzenia i zacofania gospodarczego oraz rezerwatem nędzy. Chłopi przyjęli to kino jako jeden z elementów postępu, który wtargnął i coraz śmielej zalewa wieś białostocką. Bo kino to postęp — i to, że w zapa-



Agregat obsługuje Edward Dąbrowski. Jest on rolnikiem i pracuje na gospodarstwie swego brata.



Stanisław Karaszewski jest nauczycielem we wsi Kołaki, gdzie uruchomiono niedawno 1000-ne kino.



W soboty i niedziele nauczyciel St. Karaszewski obsługuje aparat projekcyjny w nowym kinie.



CAŁA APARATURA WĄSKOTAŚMOWEGO KINA WIEJSKIEGO JEST WYKONANA W POLSCE.

dalej wsi ruszył agregat benzynowy i na biele płótna ekranu grać poczęły po raz pierwszy ruchome cienie, zbiega się ściśle z myślą i pracą Człowieka, który akurat tegoż dnia obchodził na Kremlu swą 72 rocznicę urodzin.

Znamieniem postępu jest bowiem choćby i tych 9 kin objazdowych które w jednym tylko miesiącu dotarły do 52 miejscowości w białostockim, wyświetlając swe programy dla 132 tys. chłopów. Postępem jest 60 tys. ton nawozów sztucznych, sprzedanych w roku 1951 w tym województwie. I pomyśleć, że w roku 1938 ówczesny wojewoda chwalił się przed sejmikiem, że białostockie zużyło wtedy aż 1.400 ton nawozów sztucznych w porównaniu z 900 tonami w roku 1937! Trzeba się niekiedy obejrzeć na obrazy roztaczane przed laty przez obu iluzjonistów — tego wędrującego po wsiach i tego urzędującego w Białymstoku, by zrozumieć i ocenić szmat drogi, jaką przemierzyła od tego czasu wieś białostocka.

OCZY POZOSTANĄ OTWARTE

Chłopi w Kołakach — tak jak i inni w pozostałych 999 kinach stałych czy 200 objazdowych, które

krażą w tej chwili po całym kraju, widzieli i będą nadal oglądać pełny program filmu dźwiękowego. Szeroko otwartymi oczyma, oglądali na ekranie pierwsze „Warszawy“ zjeżdżające z żerańskiej taśmy, widzieli jak dzieci wsi polskiej przybyły w zespole śpiewu i tańca do Warszawy i jak amerykańskie czołgi przeorywają swymi gąsienicami zasy we wsi zachodnioniemieckiej, patrzyli jak ulicami Wiednia przeciągają tłumy manifestujące za pokojem. A potem — pochłonęły ich przygody bohaterów „Czarnego Żlebu“.

Po dwóch godzinach zatrzymała się taśma rzucająca swą treść na ekran i zapaliły się światełka na widowni. Poprzez otwarte drzwi wtargnął przymrozek grudniowej nocy, ścinający w kłęby parę z ludzkich oddechów. Chłopi wychodzili powoli i jeden po drugim szli ku swym chatom, zaznaczonym w ciemnościach wątlami płomykami naftowych lamp. W domach opowiadali sobie i rozważali raz jeszcze cały film i śnił się on im napewno tej nocy. Ich oczy, szeroko rozwarte spojrzeniem w ekran, pozostaną otwarte na to, co się dziś dzieje i czym żyje kraj cały.



Odświeżenie udekorowali mieszkańcy Kołaków swe stałe kino — tysięczne na wsi polskiej, by godnie



powitać ministra Kultury i Sztuki, Stefana Dybowskiego, który przekazał chłopom tę nową placówkę.



ABENDROTH

JERZY WALDORFF

NA ŚWIATOWĄ sławę tego nazwiska złożyło się 50 lat pracy kapelmistrzowskiej. Rozpoczęta w Lubece, miała później za kolejne tereny — Essen, Kolonię, Lipsk i wreszcie Weimar, gdzie Hermann Abendroth jest do dziś generalnym dyrektorem Opery i Filharmonii.

Gościnne występy, to osobna karta jego sławy: Zjeżdżał z koncertami całą Europę, już przed wojną był trzykrotnie w ZSRR (w 1925, 27 i 28 r.) Po nura epopeja hitlerowska przerwała te podróże artystyczne. Ale przerwa skończyła się i Abendroth znów może odwiedzać stare kąty i starych przyjaciół, tych co przeżyli. W początkach 1951 r. znakomity dyrygent był w Moskwie, Leningradzie i Kijowie, potem w Budapeszcie, ostatnio — w drugiej połowie grudnia — w Warszawie, gdzie jego trzy występy stały się wydarzeniem artystycznym. To już 13-ty pobyt Abendrotha w Polsce, jeśli dodać 12 pobytów przedwojennych.

Należało by scharakteryzować Abendrotha jako dyrygenta. Sławnych dyrygentów można by podzielić z grubsza na dwie grupy. Na takich, którzy odtwarzając np. symfonię Beethovena, starają się pokazać przede wszystkim siebie i swoją oryginalność oraz takich, którzy przede wszystkim starają się pokazać możliwie jak najwierniej i najbardziej prawdziwie oblicze artystyczne Beethovena. Abendroth należy do drugiego rodzaju dyrygentów.

Z wielu wątków naszej długiej gawędy chciałbym zatrzymać się tylko przy jednym, najciekawszym.

— Jak przedstawia się życie muzyczne w NRD?

— Rozwija się wspaniale, tak samo zresztą, jak we wszystkich krajach budującego się socjalizmu. Bo! mnie natomiast, gdy słyszę, że w Niemczech zachodnich coraz to któraś ze znanych, starych placówek muzycznych chwieje się, gdyż okupant anglosaski popiera tylko rewię i jazz.

— A kompozycja, czy rozwija się również?

— Z tym jest gorzej. Najwybitniejsi z dzisiejszych twórców, to Otmar Gerster i Helmut Riethmueller, liczą obaj powyżej 50-łki. Młodych nie ma. Jest to wynikiem najpierw barbarzyńskiej polityki kulturalnej Hitlera, a potem rozpętanej przez niego wojny, której ofiarą padło w Niemczech całe pokolenie młodych talentów.

— Mimo wszystko... Przecież kiedy u nas tworzył i działał Szymanowski, w Niemczech był Paweł Hindemith, ciekawa indywidualność artystyczna. Czyżby on...

— Wiem, o czym chce pan mówić i cieszę się, że zestawiał pan te dwa nazwiska. Szymanowskiego znałem i podziwiałem. Wiem także, iż Szymanowski zostawił Polsce w spadku dużą grupę świetnie przygotowanych i świadomych swego celu młodych twórców. Hindemith, który jest teraz w Ameryce, nie pozostawił w Niemczech nikogo. Zapyta pan, dlaczego? To bardzo proste! — Szymanowski swoją muzyką i działalnością łączył się z polskim narodem. Przez rozwój muzyki narodowej nie rozumiał li tylko własnej kariery. Tymczasem Hindemith tkwił zamknięty w „wieży z kości słoniowej”. Odseparowany od zagadnień społecznych, pochłonięty był szukaniem dla swej samotniczej muzyki coraz to bardziej oryginalnej i nieprzystępnej oprawy formalnej. Zapomniał o tym, że twórczość muzyczna sięga skutkami daleko poza papier nutowy...

— Co pan sądzi o naszej młodej orkiestrze Filharmonii Warszawskiej?

— Skłamałbym, gdybym powiedział, że jest już doskonałym zespołem. Ale jest zespołem zdolnym, pracowitym i ambitnym. A u każdego młodego zespołu te cechy decydują o przyszłej doskonałości.

Tyle trafnej i miłej nam oceny Abendrotha.



WŚRÓD TRZCINY CUKROWEJ ZACZAŁ SIĘ EGIPSKI PARTYZANT.

„PORZĄDEK PANUJE W EGIPCIE”

FRANCIS CREMIEUX

Korespondencja własna „ŚWIATA” z Kairu

PORZĄDEK panuje w Warszawie — oświadczone urzędowo w parlamencie francuskim, kiedy siepacze carscy topili we krwi polskie ruchy wyzwolenicze. „Wielka Brytania utrzymuje ład w Egipcie” — mówi Anglicy, kiedy wojska ich mordują Egipcjan i burzą domy na ziemi egipskiej — w imię interesów imperializmu brytyjskiego.

Z Kairu idą codziennie w świat deszcze o nowych gwałtach i morderstwach popełnianych przez brytyjskich żołnierzy na ludności egipskiej.

Od 8 października ub. roku, a więc od dnia wypowiedzenia przez rząd Nahas Paszy traktatu anglo - egipskiego, imperializm brytyjski okupuje zbrojnie część terytorium Egiptu. Tereny te zwane są oficjalnie strefą kanału Sueskiego, ale bardziej pasowałyby do nich nazwa „strefy imperialistycznego terroru”, stosowanego wobec mieszkańców tej ziemi.

W Egipcie, poprzez kraj cały przechodzi groźny pomruk gniewu. Na murach miast pojawiły się odezwy,

wzywające patriotów do walki z okupantem.

Spędziłem kilkanaście dni w strefie kanału Sueskiego. W Tell el Kebir czyli zaledwie o 80 km. od Kairu, żołnierze brytyjscy poddali mnie brutalnej rewizji. Ich karabiny maszynowe, ukryte za workami z piaskiem, trzymają pod ostrzałem ważną szosę Kair — Izmailia. Wszystko to, co widziałem podczas mego pobytu w tej strefie dowodzi, że wojska brytyjskie nie czują się tam bynajmniej bezpieczne. Boją się partyzantki, boją się zamachów na urządzenia wojskowe.

Armia brytyjska zatrudniała na okupowanych przez siebie terenach około 70 tysięcy robotników egipskich przy wszelkiego rodzaju pracach garnizowanych. Robotnicy ci zastrajkowali w patriotycznym porywie nazajutrz po wypowiedzeniu traktatu. Anglicy muszą obecnie wykonywać sami tak „niskie” prace jak pranie bielizny czy dowożenie żywności. Nie bardzo im to wychodzi — żołnierz brytyjski potrzebuje bowiem całego dnia na to, co robotnik wykonuje w dwie godziny. Go-

REKTOR UNIWERSYTETU MUZULMAŃSKIEGO NA CZELE POCHODU ANTYBRYTYJSKIEGO. W KAIRZE. W POCHODZIE UCZESTNICZYŁ MILION LUDZI.





BRYTYJCZYCY BURZĄ CZOŁGAMI DOMY MIASTA GAYNAEIM.

rzej dla nich, kiedy — jak to miało miejsce w Izmailii — żołnierze brytyjscy tak „umiejętnie” manewrowali na stacji kolejowej że wykołczyli lokomotywę pociągu z amunicją i zablokowali tory.

Anglicy urządzają regularne „łapanki” na robotników egipskich, których tym (stosowanym już przez hitlerowców) sposobem, chcą zmusić do pracy dla siebie. Dalej — urządzają przy współdziałaniu czołgów zwykłe napady na egipskie składy celne, skąd bezceremonialnie zabierają potrzebne im towary.

Wojska brytyjskie planowo i świadomie prowadzą akcję zastraszania i prowokowania ludności egipskiej. Po ulicach miast i miasteczek krążą stale czołgi i samochody pancerne; z wieżyczek mierzą do przechodniów karabiny maszynowe. Ale nie tylko mierzą — strzelają! 3 listopada Brytyjczycy zamordowali 16 Egipcjan w Suezie, na-
zajutrz — 24, a w tydzień później — 20 również w tym mieście. 17 listopada — 16 Egipcjan legło na bruku El Ferdan...

Ta krwawa lista przedłuża się z każdym dniem.

Przelewając krew ludności egipskiej w strefie kanału Sueskiego, wojska brytyjskie demonstrują najlepiej wszystkim ludom arabskim, że rządy, które są na służbie imperializmu, znają tylko jeden argument: siłę zbrojną!

Ale lud egipski odpowiada im wzmożeniem walki o niepodległość narodową i o pełne wyzwolenie z obcego jarzma. Walka ta przybiera stale na sile, występując w niespotykanych dotychczas rozmiarach. I tak np. 14 listopada ub. roku milion mieszkańców Kairu przeszedł ulicami miasta, manifestując swe poparcie dla hasła wyzwolenia narodowego.

Żaden rząd nie będzie dziś już mógł w Egipcie wycofać się z pozycji zajętych przez naród, który nie pozwoli na powrót kolaboracji z imperializmem. Wszyscy w Egipcie wiedzą, że walka może być długa i trudna, ale nikt nie wątpi o ostatecznym zwycięstwie narodu, sięgającego po wolność.

PODPALONY PRZEZ EGIPCJAN SAMOCHÓD OKUPACYJNYCH WOJSK...



DOBRA I BUTELKA, ABY PRZECIĄĆ OPONY BRYTYJSKIEGO WOZU.



BRYTYJCZYCY WZMAGAJĄ TERROR W OKUPOWANYCH MIASTACH.

...I BRYTYJCZYCY STRZEGĄCY SZOSY — OTO DZISIEJSZY EGIPT.



MALI ŻEBRACY HISZPANII

MAITE (Z pism niewydanych) — Ilustrowała ZOFIA BOCHENEK

SPOTKAMY się w naszej chatce! — krzyknęło jedno z nich i pędem rozpiechły się wszystkie. Tak zupełnie, jak stado wróbli przestraszone niespodziewanym hałasem.

W kilka chwil później ukazało się dwóch policjantów. Przed nimi właśnie uciekała ta garść obdartych, zabiedzonych dzieci hiszpańskich. Ich życie — jeśli w ogóle życiem to nazwać można — było nieprzerwanym poszukiwaniem kawałka chleba, który miał uciszać głód nigdy niezaspokojony.

Z lękiem i niepewnością żebrały — u drzwi domów, u wejść do kolejki podziemnej, chciwie szukały resztek w śmietnikach, lub odpadków zmiatanych na targu. Ale w Hiszpanii jest znacznie więcej żebraków, niż resztek ze stołu sytych.

W dwie godziny później, do nędznej szopy, sporządzonej z kawałków dykty i odpadków blachy, samotnie tkwiącej na pustkowiu w pobliżu najuboższej dzielnicy miasta, wchodziło pierwsze z dzieci. Był to Perico, dwunastoletni młodzieniec o stanowczej twarzy. Nie miał na plecach koszuli, a podarte spodnie przytrzymywał kawałek sznurka. Rodziców nie znał wcale. Ktoś mu kiedyś powiedział, że zginęli od bomby podczas wojny, której nie pamiętał. Od pięciu lat żebrze... Żebranie jest jego pierwszym wspomnieniem. Wyciąganie ręki — pierwszym świadomym czynem.

Upłynęło jeszcze parę minut i w drzwiach izdebki ukazała się Anita. Dziewczynka miała 12 lat, ale nie wyglądała na swoje lata; puszyste, jasne włosy okalały mizerną twarzyczkę. Inne dzieci, które dzieliły z nią obecną niedolę, znalazły ją pewnego dnia zalewającą się łzami na stopniach zamkniętego kościoła i nazwały dziewczynkę „la Nica”. Odtąd dzieliła z nimi głód i żebranie.

— Ach, Perico, nie będziemy mogli kupić sukienki, wyżebrałam zaledwie jednego peseta — powiedziała — Mylisz się — zaprotestował chłopiec. — Mamy już 63 pesety, a „El Tono” poszedł w odwiedziny do „Zuchwałych”, ażeby pożyczyć tyle, ile nam jeszcze brakuje!

— To dobrze — ucieszyła się dziewczynka — ale... och, nie gniewaj się tylko, Perico... musimy prócz tego koniecznie kupić coś do zjedzenia, już dziesięć dni prawie nic nie jemy i gdybyś wiedział, jaka jestem głodna! Chcę bardzo, naprawdę, byśmy kupili sukienkę dla Mari-Tere, tylko... ja już nie mogę. Chciałabym... jeść... Czemuż to ona ma mieć wszystko, a my...

— Czyż nigdy tego nie zrozumiesz! — krzyknął Perico. — Tyle razy ci to tłumaczyłem! Więc słuchaj jeszcze raz, głuptasio! Kiedy mordowano ojca Mari-Tere, obiecaliśmy biedakowi, że będziemy opiekować się jego córeczką nawet wtedy, gdybyśmy sami nie mieli co jeść, nawet wtedy, gdybyśmy byli bardzo głodni!...

Nie skończył mówić, gdy wbiegł do izdebki małe dziecko ośmioletni, spocony, zadyszany, półnagi chłopiec i łapiąc powietrze wykrztusił z trudem:

— Załatwione... Kupi się... kiedy powiedziałem, że to dla Mari-Tere — sprzedali swój rower trzykołowy i... dali mi 30 pesetów... Macie... — szybko mówił „El Tono”, trzeci uczestnik spółki, wyciągając pieniądze z małego woreczka uwieszonego u paska.

— Bravo! Bravo! Doskonale! — cieszyli się wszyscy. I wtedy właśnie weszła Mari-Tere.

Ze smutnych, pełnych powagi oczu wyglądała cała przeszłość dziewięcioletniej Mari-Tere spędzona przeważnie we łzach. Ale zapalając się od czasu do czasu w jej oczach iskiierki zdradzały, że dziewczynka bynajmniej nie jest pogodzona z losem, że żarzy się w niej nieustający bunt.

— Co się tu dzieje! Nad czym tak rozprawiacie? — pytała, całując towarzyszy na powitanie.

— Nad niespodzianką... Będiesz miała niespodziankę... — odezwała się Anita, gładząc rękę smutnego dziecka.

— Kupimy ci sukienkę na egzamin — wybuchnął radośnie „El Tono”, nigdy nie umiejący utrzymać sekretu.

— Sukienkę? Ależ ja nie chcę — szybko odpowiedziała dziewczynka. — Mam przecież sukienkę, to wy jesteście prawie nadzy. Teraz już wiem, dlaczego



— Nie opowiadaj głupstw Mari-Tere — zaczął Perico, który rządził całą czwórką.

go od tyłu dni opowiadacie, że jedliście gdzie indziej i już nie jesteście głodni! Po to gromadzicie pieniądze? Ja nie chcę, nie chcę — i zaczęła płakać.

Troje dzieci w łachmanach schyliło się nad małą. W całej ich postawie zaszła nadzwyczajna zmiana. Zdawało się, że oto troje starych, doświadczonych ludzi przekłada coś drogiemu, kruchemu stworzeniu.

— Nie opowiadaj głupstw, Mari-Tere — zaczął Perico, który rządził całą czwórką. — Zaręczam ci, żeśmy jedli — ciągnął, rzucając nakazujące spojrzenie na „Nicę”, która, być może, miała zamiar powiedzieć coś całkiem innego...

— Tak, tak, wszyscyśmy jedli — wykrzyknęli zgodnym chórem.

— Mari-Tere, posłuchaj — mówił dalej Perico z powagą, — nie chcę, żebyś płakała, ale muszę ci coś przypomnieć. Wiesz dobrze, że oddajemy ci to tylko, co twój ojciec zrobił kiedyś dla nas. Pewnej nocy zimowej ja i „El Tono” umieraliśmy przecież z głodu i zimna, znalazł nas wtedy, zabrał do siebie i pokochał, jak gdybyśmy byli jego prawdziwymi synami. Trochę później znowu spotkaliśmy „la Nicę”. Gdy ją zobaczył — powiedział: „A więc będę pracował jeszcze trochę więcej”. I było tak, dopóki nie przyszła i nie zabrała go policja. Kiedy ci całował po raz ostatni, obiecaliśmy mu, że się zaopiekujemy tobą. W ostatnim liście przed śmiercią — przypom-

niał nam tę obietnicę: „Opiekujcie się Mari-Tere — pisał — kochajcie się, jak rodzeństwo. Wiem, że wymagam wiele, bo jesteście jeszcze dziećmi. Ale teraz dzieci muszą się starać być dorosłymi. Wychowajcie ją tak, jak ja was chciałem wychować”.

— Wiem to wszystko — odpowiedziała dziewczynka. — Ale z pewnością nie kazał wam żebrać po to, żebym chodziła do szkoły. Z pewnością nie kazał wam się głodzić i chodzić nago, ażeby za to miała książki i nową sukienkę!

— Cicho bądź! — ofuknął Perico, sam dobrze nie wiedząc, jakich jeszcze użyć argumentów. — Naturalnie, że wszyscy powinniśmy chodzić do szkoły. Słyszałem, że w innych krajach podobno wszystkie dzieci się uczą. Bądźmy cierpliwi i chodźmy już spać nareszcie! Jutro rano dostaniesz sukienkę, a potem wszyscy pójdziemy na egzamin. Wspaniały dzień będzie jutro!

Wszyscy ułożyli się na stercie słomy. Żeby było cieplej, przytulili się mocno do siebie.

Anita szepnęła po chwili półprzypłotnie:

— Nie mogę spać, jestem bardzo głodna!

— Jutro będziemy jedli — odpowiedział natychmiast energiczny głos Perica. Mari-Tere na szczęście już spała.

Nazajutrz przebudzili się o świcie. Troje opiekunów myło się starannie i długo, a Mari-Tere zszycowała tymczasem, jak umiała, łachmany przyjaciół.

Cała czwórka ruszyła po sukienkę. Wchodzili do wielu sklepów, ale wyrzucano ich ze wszystkich, zanim które zdążyło otworzyć usta i powiedzieć, po co przyszli.

— Wnoście się! Żebrze się na ulicy! Wnoście się ze sklepu! — wołano pogardliwie, lub ze złością.

Wreszcie Perico naradził się po cichu z „El Tono” i zalecił dziewczynkom wracać do chaty.

Obaj chłopcy z rozpaczliwie stanowczymi minami weszli do najbliższego sklepu i podczas gdy „El Tono” szamotał się z kolejnym subiektem — Perico szybko położył na ladzie 93 pesety, schwycił sukienkę, która wydała mu się najpiękniejsza i także wybiegł na ulicę.

Po południu uroczyste udali się do szkoły, gdzie najlepsi uczniowie mieli dostać nagrody.

Troje dzieci, przyzwyczajonych o każdej porze i pogodzie przebiegać ulice miasta, czuło straszne onieśmienie, wkraczając po raz pierwszy w progi szkoły.

— Gdzież tu się pchacie, włóczęgi? — zapytał portier srogo.

— Nie jesteśmy włóczęgami — odrzekł Perico z godnością. — Zebrzemy, to prawda, ale nic nikomu nie kradniemy. Proszę się nie bać.

Portier uległ natarczywej prośbie. Usiedli wśród wielu szeregów rodziców i poszukali wzrokiem Mari-Tere. Dziewczynka uśmiechnęła się do nich. Wówczas odczuli dumę i wzruszenie. Przecież to dzięki ich staraniom mała uczyła się tutaj!

Nauczyciel, były wojskowy, rozpoczął lekcję.

— Każde z was — oznajmił głośno — ma opowiedzieć na piśmie o najważniejszym zdarzeniu w swoim życiu, o jakimś pięknym uczynku, czy najmielszym wspomnieniu.

Mari-Tere otworzyła zeszyt i rozjaśnionym spojrzeniem ogarnęła trójkę swoich opiekunów. Wyglądało, jakby miała płakać. Przez kilka chwil z natężeniem wpatrywała się w każde z nich po kolei. A potem pisała długo i bez odpoczynku.

— No, i cóż opisałaś?

— spytali wszyscy troje jednocześnie, kiedy wracano do „domu”. I nie czekając na odpowiedź zgadywali:

— Pewno wybrałaś dzień, kiedy chodziliśmy na wycieczkę za miasto? — domyślał się „El Tono”.



...damy pouczającą lekcję tym włóczęgom, którzy snują się po naszym kraju i dyskredytują go swą nędzą!

— Ach, nie — zaręczam, że opowiedziała o tej ślicznej piosence, którą matka usypia swoje dziecko — przerwała Anita.

— Nie zgadliście wcale — oświadczył Perico tonem wyższości. — Założę się, że Mari-Tere opisała to, co mówił nam niedawno znajomy robotnik — pamiętacie? — o tych dzieciach, które mieszkają w dalekim kraju i nie potrzebują wcale żebrać.

— Żadne z was nie zgadło — oznajmiła dziewczynka z przekorą. — Opisałam po prostu naszą historię.

— Jaką naszą historię? — powtórzył przerażony „El Tono”.

— Chyba nie napisałaś o tem, co było z sukienką? — spytał Perico z trwogą.

— A właśnie, że tak! — powiedziała rezolutnie Mari-Tere i w tym momencie weszli do swojej szopy, mocno wszyscy zagniewani.

Nazajutrz odbywało się rozdanie nagród, więc cała czwórka zdecydowała się jednak raz jeszcze pójść do szkoły.

Nauczyciel wszedł na katedrę, coś mówił, czego żadne z dzieci nie rozumiało, a potem wymienił dwójce nagrodzonych.

Następnie czytał nazwiska wszystkich dzieci, które brały udział w egzaminie. Mari-Tere była coraz bledsza i bliska płaczu.

Czytanie listy ucichło, imię dziewczynki nie zostało wymienione. Rozdano nagrody, uczniowie i dorośli ruszyli ku wyjściu i wówczas dopiero rozległ się głos Perica:

— Pan opuścił nazwisko Mari-Tere!

— Ponieważ jest złodziejką, jak zresztą wy wszyscy! — krzyknął z wściekłością nauczyciel, wygrażając struchlałym dzieciom swoją włochatą pięścią. Jednocześnie zza drzwi przymkniętych wtargnęło dwóch policjantów i brutalnie chwyciwszy malców uprowadzili ich ze sobą, nie zważając na protesty publiczności, która nie mogła zrozumieć, co się dzieje.

W dwa dni potem, dzieci nędzy hiszpańskiej stanęły przed trybunałem karnym osady górniczej, jeszcze mizerniejsze i bardziej obdarte niż zwykle, z bestialskimi śladami pobicia.

Salę wypełniła dość liczna publiczność, ciekawa dlaczego ich zaaresztowano.

Prokurator, odczytawszy ustęp wypracowania Mari-Tere, w którym opowiadała, w jaki sposób nabyto dla niej sukienkę — domagał się specjalnych sankcji.

— Ukarawszy surowo złoczyńców, którzy jutro z pewnością zostaną mordercami — damy pouczającą lekcję tym wszystkim włóczęgom, którzy snują się po naszym kraju i dyskredytują go swą nędzą!

Mała Anita, nie rozumiejąc nic z tego, co się działo, nie wiedząc, że chcą ją ukarać za sieroctwo i ustawiczne głodowanie, rzekła nagle:

— Chciałabym usłyszeć, co Mari-Tere napisała o mnie.

Te niewinne słowa stały się jak gdyby sygnałem. Teraz już ogół publiczności domagał się odczytania całego wypracowania Mari - Tere.

Przewodniczący sądu, widząc, że sprawa przybiera zły obrót, usiłował oponować, nic to jednak nie pomogło i zmuszony był zarządzić odczytanie tego, co w rzeczywistości stanowiło straszliwy akt oskarżenia przeciwko ludziom odpowiedzialnym za nędzę.

Przygarnięcie trojga opuszczonych dzieci, aresztowanie i zamordowanie przybranego ojca, ich życie, noclegi w barakach dla bezdomnych, na gołej ziemi, potem zmaganie się z chorobą „El Tono”, lęk wobec możliwości śmierci kochanego towarzysza, kupno - porwanie sukienki, wszystko było hymnem wdzięczności sierotki, która chodziła do szkoły dzięki poświęceniu towarzyszy niedoli, którzy żebrali, ażeby ona mogła się uczyć i nie być głodna.

W miarę czytania — rósł szmer wśród słuchaczy:

— To wcale nie była kradzież! Zapłacili przecież za sukienkę! — krzyknęła w końcu jedna z kobiet. — Uwolnić te dzieci natychmiast! — żądała głośno druga.

— Zabieramy je — wszystkie! Każdy z nas zao piekuje się nimi! — zgodnym chórem wołała teraz publiczność składająca się z samych ludzi pracy i natychmiast ramiona kobiet zamknęły się nad czworgiem dzieci, nie rozumiejących jeszcze, dlaczego je caują, dlaczego kłócą się o zaszczyt przygarnięcia ich do siebie...

Z francuskiego przełożyła Z. Wędrychowska



W KRÓLESTWIE KACYKA LUANIKI

15 KILOMETRÓW od hradečnického zámku nad Vltavou a již najdemejme se... w afrykańskiej dżungli. Proszę, jeszcze parę kroków i spoza liści rozłożystej palmy ukazują się naszym zdumionym oczom murzyńska wioska. Piramidalne strzechy, nędzne palisady, czarne torsy kędzierzawych ludzi.

Afryka? A przecież termometr wskazuje tylko 16° C. A może to pogłoski o tropikalnych upałach afrykańskich okazały się przesądzone?

Jeśli zaczepimy tego barczystego Murzyna i spytamy pokornym szeptem, gdzie się właściwie znajdujemy, odpowie nam w nienagannej czeszczyźnie, że w wiosce Panda-ma-tenka, która należy do posiadłości sławnego króla Luaniki.

Wszystko się zgadza. Wioskę Panda-ma-tenka wybudował tego lata inż. Miroslav Hrachovec, by stworzyć odpowiednie tło dla zdjęć do nowego filmu czeskiego „Wielka przygoda”, który na terenach plenerych wytwórni w Barrandovie nakręca właśnie młody reżyser M. Makovec (znany polskiej publiczności z filmów „Dr Kovarz operuje” i „Wesoły pojedynek”).

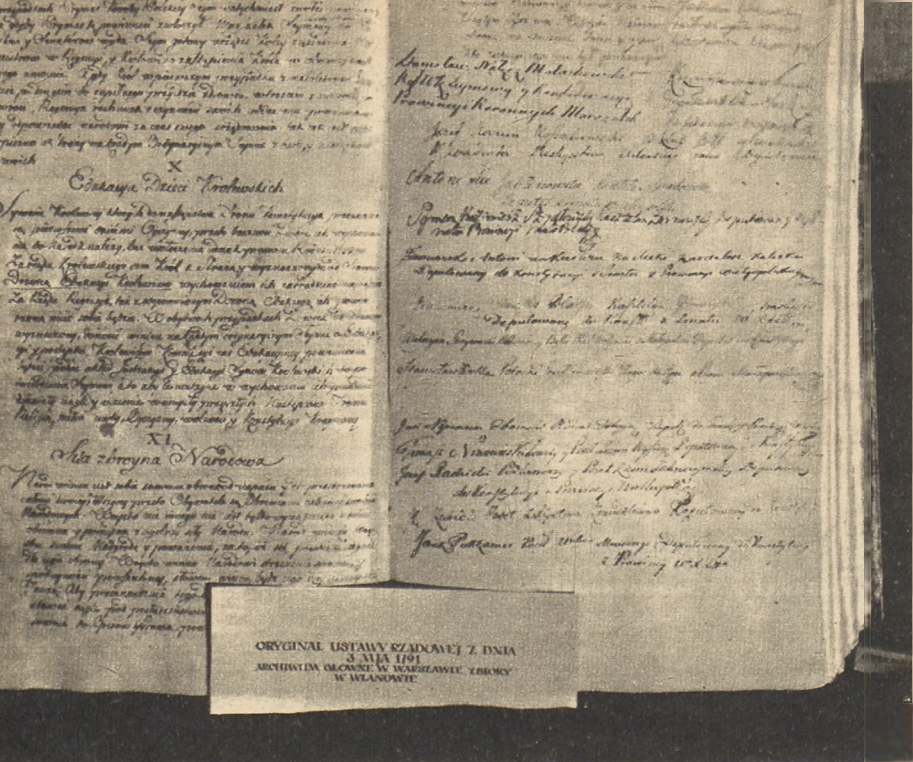
„Wielka przygoda” to film o czeskim podróżniku i naukowcu z końca zeszłego stulecia, Emilu Holubie. Kinematografia czechosłowacka stanęła przed trudnym zadaniem: sfilmować Afrykę. Zadanie trudne, ale nie niemożliwe. Barrandovskie kierownictwo produkcji ogłosiło przede wszystkim mobilizację wszystkich Murzynów, przebywających na terenie Czechosłowacji, a kiedy tych okazało się zbyt mało, doangazowano jeszcze zespół czarnych tancerzy Keith Fodeby z Paryża i grupę Murzynów z NRD.

Potem szło już właściwie tylko o drobiazgi: mobilizację wszystkich większych palm pokojowych, zbudowanie paru potężnych baobabów z kartonu i odtworzenie w szczegółach typowej wsi centralno-afrykańskiej.

Aktorzy murzyńscy, z których dwaj kreują w filmie poważne role, byli zachwyceni gościnnością czeskich filmowców, narzekali tylko, że sierpniowe, a zwłaszcza wrześniowe słońce Pragi bardzo słabo przypomina słońce znad Tanganiki.

plaż.





Oryginał aktu Konstytucji 3 Maja. Dokument, nie był dostępny dla badaczy przez przeszło sto lat, ponieważ przetrzymali go Potoccy w prywatnych archiwach.

Czimy tradycje tego okresu, ponieważ odzwierciedla on historyczną walkę dwóch nurtów, walkę ludzi postępowych i światłych z uprzywilejowaną warstwą magnatów, z wstecznictwem, które – tak jak to czyni i dziś – przeciwstawiało się zaciekle jakimkolwiek dążeniom do ulżenia doli mas ludowych. Byli jednakże ludzie światli i gorący, szczerzy patrioci, jak Hugo Kollataj, Stanisław Staszic i inni, którzy podjęli walkę z wstecznictwem. Byli oni wśród tych, którzy powołali do życia Komisję Edukacyjną i w walce z ciemnotą i przesądem rzucili hasło udostępnienia oświaty ludowi... My, wyciągając naukę z historii walk społecznych, nie tylko podjęliśmy hasło upowszechnienia oświaty i kultury wśród mas ludowych, zapoczątkowane – jakkolwiek nieśmiało jeszcze – przez twórców Konstytucji 3 Maja, ale jako ich spadkobiercy urzeczywistniamy dzisiaj to hasło w skali bez porównania szerszej, opierając je na walce o całkowitą przebudowę ustroju społecznego przez usunięcie wszelkich form wyzysku i upośledzenia człowieka.

(Z przemówienia Prezydenta Bieruta, wygłoszonego 2 maja 1949 r. w fabryce im. gen. Świerczewskiego)

HOŁD TRADYCJOM POŚ

WYSTAWA „WIEK OŚWIECENIA W POLSCE”



TYPY WALCZĄCYCH POWSTAŃCÓW. SZKICE AL. ORŁOWSKIEGO. SEPIA



O CZYWIŚCIE wystawa. Ale nie tylko: również — plastyczny obraz z historii Polski, pogłówna lekcja dziejów, lekcja tym wyraźniejsza, że przemawiająca prawdą dokumentów i pamiątek.

Przypomnijmy sobie początek „Monachomachi” Krasickiego:

„W mieście, ponieważ zbiór pustek
tak zowie,
W mieście, (gród ziemstwo trzymało
albowiem)...
...Były trzy karczmy, bram cztery
ułamki,
Klasztorów dziewięć i gdzieś tam
domki...

Porównajmy ten opis z akwarelami Vogla, z rysunkami, obrazującymi niedolę włościan a przepych i zbytek magnatów, obejrzyjmy bzdurne panegiryki i ogłupiające, zabobonne książki w rodzaju „Dźwięk na wdzięk opatrności boskiej” (tytuł oryginalny), świadczące o opłakanym stanie umysłowości szlachty. Oto smutny obraz stosunków społecznych Polski w początkach XVIII wieku: zacofanie, ciemnota, warcholstwo.

Rozejrzyjmy się choćby pobieżnie wśród 4.000 eksponatów, rozwijających przed widzem działalność i zasługi ludzi postępu, którzy stanęli do walki z wstecznictwem i sprawili, że drugą połowę XVIII wieku nazywamy „okresem oświecenia”. Powiemy wówczas: wystawa w Muzeum Narodowym w Warszawie uczy szybciej i lepiej niż niejednen podręcznik historii.

Z setek autentycznych dokumentów, ksiąg, rycin i obrazów, rozmieszczonych w 26 salach Muzeum Narodowego w Warszawie, przemawia niezaprzeczalna prawda. Weźmy dla przykładu dział, ilustrujący położenie chłopstwa: rysunki, akwarele, obrazy, w wymownych zestawieniach kontrastujące różnicę warunków życia magnackich dworów i wsi. Pod nimi — dokumenty. Oto fragment „Summaryusza Suplika podanych Najjaśniejszemu Panu z Ekonomii Grodzieńskiej”. Skarżą się chłopci ze wsi Bohusze, że „...przed tym było gospodarzy sto, koni 300, y tyleż wołów, a teraz ma być (być) gospodarzy 50, koni 10 y wołów par może 15, których większa połowa niezdatna do roboty. Ze idących na zarobek kuja w kajdany y biją”.

Ale byli ludzie, którzy zastanawiali się nad poprawieniem sytuacji gospodarczej. Uczni badali możliwości rozwoju przemysłu, hutnictwa, górnictwa. Oto plany kopalni, hut, opisy podróży naukowych po Polsce. Wszystko autentyki. Z wielu muzeów w kraju wydobyto starodruki, foliały kronik i roczników, bezcennej wartości ilustracje i ryciny, nieznane dotąd zupełnie szerszej publiczności. Dzięki pracy naukowców polskich udało się przedstawić dokładnie obraz czasów oświecenia. Tak np. prace dr. Zofii Kamińskiej dostarczyły wiadomości o organizacji i strukturze manufaktur. Na przykładzie manufaktury szkła w Urzeczcu Radziwiłłowskim, zobrazowano położenie wyzyskiwanych robotników i ogrom zysków, które ciągnęli właściciele.

Działalność ludzi postępowych i światłych ożywia szkolnictwo, literaturę, sztukę. Rozbudowuje się Warszawa, której rozwój obrazują fotokopie akwarel i rycin, oryginalne plany wielkich architektyw epoki klasycyzmu. Cóż za rozmach i inwencja twórcza! Ile wzorów mogą od swych poprzedników czerpać dzisiejsi budowniczowie socjalistycznej stolicy. Jaki wspaniały rozkwit teatru, który wielki reformator Wojciech Bogusławski naprawdę polskim uczynił. Z jakim wzruszeniem ogląda się partyturę pierwszej polskiej opery, „Nęcza uszczęśliwiona”. Kamińskiego lub „Krakowiaków i Górali”, skomponowanej przez Stefanię do libretta Bogusławskiego. Możemy nawet z pobłażliwością patrzeć na słowo „Gurale” w tytule i wybaczyć ten błąd spolszczonemu Włochowi, którego opera tyle wrzawy uczyniła w Warszawie. Dwieście premier operowych w tym czasie — to liczba zaiste imponująca.

Księgi, dokumenty, obrazy. Wiele z nich odkrywa nam nieznane dotąd fakty. Oto dziełko „Budowanie wiejskie” Piotra Świątkowskiego. Ucząc, jak należy budować zagrody chłopom, pisze on tam między innymi: „Rolnicy nasi jedni mają znaczne gospodarstwo, jak to: sołtysi, okupnicy, kmiecie, drudzy mają połowę mniejsze, jako to: półrolnicy, inni ledwie mają jakieś, jako to: komornicy, chałupnicy”. Kmieć, według Świątkowskiego ma „5 czeladzi, 6 koni, 12 krów, 50 owiec. Zagrodnik jest sobie często parobkiem, a żona dziewczkę

„Ona mnie nie okłamuje. Ona to mówi w dobrej wierze...”

Postanowił zobaczyć się z kierownikiem biura, dystyngowanym monsieur Balard. Wydawało mu się prawdopodobne, że urzędowy optymizm obejmował niższych urzędników, a że już wyższym instrukcje pozwalały myśleć realnie. Jednak gdy po piętnastu minutach oczekiwania, monsieur Balard przyjął Stewessa w swym niewielkim, zarzuconym papierami gabinecie, usprawiedliwiając się gęsto i wytwornie, że Stewess tak długo musiał czekać na niego — wszystko się wyjaśniło. Uśmiech monsieur Balarda był nie mniej przekonujący i nie mniej spokojnie szczery, od uśmiechu mademoiselle Laclot.

— Dziennikarze, dziennikarze — mówił monsieur Balard dobrotnie się uśmiechając. — Znowu chcielibyście, by okres sensacji z czasu przesilenia rządowego powrócił. Niestety, tym razem muszę was zasmucić: ten strajk się nie uda. Prawie że go nie będzie. Zresztą wszyscy piszą o tym — tu monsieur Balard zagrał palcami prawej ręki, jak na harmonii, na pliku leżących przed nim świeżych paryskich gazet.

Stewess wysunął swoją „l'Humanité”, choć z góry wiedział, co Balard powie i uczyni.

— Gdyby wierzyć temu, co oni piszą — monsieur Balard potwierdził przypuszczenie Stewessa — dawno już siedzielibyśmy w więzieniach lub byliśmy na wygnaniu, a monsieur Thorez rezydowałby w Pałacu Elizejskim...

Stewess podziękował za uspokajające informacje. Szybko zbiegał po schodach, rezygnując z windy. Ten męczący bieg uspokoił jego nerwy. Jeszcze u Balarda zapalił papierosa i zaraz go rzucił. Usta wypełnił smak gryzącej goryczy. Twardy jak podeszwa język przeszkadzał mu tylko. Zbyt dużo palił tego dnia.

To wszystko zaczynało mu się coraz mniej podobać. Rzecz prosta, nie chodziło o przebieg samych wydarzeń. Mógł być strajk, a, oczywiście, jeszcze lepiej, gdyby go w ogóle nie było. Ale na litość boską, on, John Stewess, korespondent koncernu prasowego Shopper and Shopper, musiał chociażby mniej więcej wiedzieć, co się jutro zdarzy. Przecież za coś mu płacono. Same informacje i artykuły stanowiły szczuplejszą część jego pracy. Płacono mu, żeby wiedział. Jego działalność publicystyczna miała wyrażać tylko część tej wiedzy. Chodził do Ambasady Brytyjskiej w Paryżu, wzywano go do Londynu, sadzano na konferencjach u Shopera, w Ministerstwie Spraw Zagranicznych lub w Komisji Izby Gmin do Spraw Polityki Zagranicznej po to, by informował, jak jest we Francji i jak będzie. On, John Stewess, miał nie tylko kształtować opinię publiczną swego kraju, lecz przede wszystkim miał być oczyma i uszami tych, którzy najbardziej wpływali na tę opinię. Ażby sprostować owemu wielkiemu, od-

powiedzialnemu zadaniu, on, Stewess, musiał po prostu sam wiedzieć...

Gryzł nerwowo usta zapuszczając motor samochodu. Spojrzał na zegarek. „...Nie. Nie pojedzie do biura. Zadzwoń z miasta. Wykorzysta ostatnią drogę, jaka mu pozostała, by zdobyć informacje z pierwszego źródła...”

Był pewien, że Balard i jego urzędniczka mylili się. Miał swoje kontakty, swoje spojrzenie, swój sąd wreszcie. I wszystko mu mówiło, aż nadto wyraźnie, że jutrzejszy strajk będzie istotnie strajkiem powszechnym. Walka o podwyżkę płac przy stałej, a ostatnio znacznejwyżce cen, stawała się hasłem, które mogło zmobilizować wszystkich robotników i urzędników.

„Jeśli oni stawiają na związki socjaldemokratyczne i chadeckie — myślał Stewess — to grubo się przeliczą. Organizacje dołowe przystąpią do strajku, choćby góra złożyła nie wiadomo ile oświadczeń potępiających strajk. Z telefonem jakoś załatwie. Radio ma swój kabel. Jeżeli tam się nie uda, jest jeszcze ambasada i wojsko. Co jednak z serwisem prasowym? Skąd wezmę wiadomości, skoro agencje nie gwarantują za nic?”

Przy wjeździe na Pola Elizejskie musiał zatrzymać wóz. Szerokim korytem alei płynęły wieloma rzędami samochody. Po chodnikach leniwie sunęli wytworni mężczyźni i wystrojone kobiety. Byli tu aferzyści wszelkich narodowości, agenci wszelkich wywiadów, wielkoświatowi alfonsi, miejscowi szpicle, amerykańscy wojskowi, cudzoziemscy dziennikarze i urzędnicy, piękne cudzoziemki, paryskie kokoty i eleganckie damy, nudzące się podstarzałe multimilionerki itd.

Samochody dla zaparkowania wjeżdżały na chodniki i zjeżdżały z nich. Przechodnie rozstępowali się, ginęli we wnętrzach kawiarni, barów, restauracji, oszklonych, błyskających lustrami, i mimo dnia, zapalonymi światłami. Wyelegantowani lokaje, czekali na wydanie polecenia przez jaśnie pana, którym mógł być każdy, kto posiadał pieniądze.

Ta defilada próżności i brudnych geszefistów, ten dom schadzek ciemnych interesów, jakim są Pola Elizejskie, leży w cieniu Łuku Triumfalnego, kryjącego w swej niszy grób Nieznanego Żołnierza poległego za wolność Francji...

„Oni nienawidzą swojego rządu” — myślał Stewess o Francuzach, lokując wóz przed Cafe Georges V, skąd miał zamiar zadzwonić do Tousserina’a — „Oni mają dosyć tych siwych lub łysych starców, którzy już raz rzekli się Francji”.

W kawiarni było pełno i gwaro, jak zawsze koło południa. Minał pierwszą, wielką i ciemną salę. Ulokował się w pobliżu wejścia do telefonicznych kablin umieszczonych w podziemiu.

— Garcon! — krzyknął na przechodzącego kelnera.

Sprawił godzinę. Pod względem przestrzegania czasu posiłków i spoży-

wania napojów przejął zwyczaj francuskich mieszcuchów. Była pora południowego aperitif'u. Zamówił Cinzano, a ponieważ męczyło go pragnienie i było mu gorąco, jeszcze sok z cytryny na lodzie. Obok niego giełdziarze klócili się przyciszonymi głosami. „Ci czują pismo nosem” — pomyślał Stewess.

Z drugiej strony, na pokrytej skórą kanapie, nie pierwszej już młodości artystka znanego teatru rewiowego gładziła po wygolonych różowych policzkach szpakowatego majora armii amerykańskiej.

„Urzędowe godziny tej wiedzy” — skrzywił się z niesmakiem Stewess, a ponieważ znał kobietę, ukłonił się.

Wypił łyk podanego aperitif'u, i zapili sokiem z cytryny. Sok był za kwaśny, dosypał więc cukru. Rozglądał się przez chwilę po sali, po czym zszedł do kabiny. Wolał zatelefonować, niż jechać na rue de Saussaie, mimo że wiedział jak trudno jest się dodzwonić. Nie chciał się tam pokazywać zbyt często, tak przez wzgląd na siebie, jak i na Tousserina'a.

Tousserin ucieszył się jego telefonem:

— Miałem właśnie jechać na miasto. Jest pan w Cafe Georges V? Za kilka minut tam będę...

„Zjem z nim obiad” — postanowił Stewess.

Pojechali, jak już się zdarzyło kilka razy, do modnej restauracji „Chez Prince”, której właścicielem był gruziński książę. Ileż Stewess znalazł się w tym lokalu pełnym aksamitnych kotar, wyściełanych takimż aksamitem miękkich kozetek, luster, przyćmionych świateł i starych, zniszczonych ludzi: majordomusa oraz usługujących gościom kelnerów, zawsze ogarniała go wcale nie metafizyczna melancholia pomieszana z trwogą:

„My przemijamy tak samo jak oni przeminieli...”

Tousserin był w świetnym humorze. Wybrał langustę rezygnując z ostryg. Mówił o wszystkim, nie ruszając sprawy strajku. Wyglądało, jakby czekał, by Stewess pierwszy zaczął o nim mówić. Stewess ociągał się. Przecież Tousserin musiał wiedzieć, o co mu idzie. W końcu nie wytrzymał i wprost spytał:

— Co z jutrzejszym strajkiem?

Tousserin wesoło błysnął oczami:

— Wszystko jak najlepiej!

Uśmiechnął się.

Dobrze poinformowany dziennikarz John Stewess, w czasie wojny frontowej korespondent, od 1945 roku nie mniej frontowy — lecz ze stałą siedzibą w Paryżu — był słynny w całym anglosaskim świecie ze swego „niu-cha”. Teraz się „niu-cha” siedział na przeciwko i milczał.

— Strajk będzie — zauważył Stewess.

Tyle razy już podobnie mówił:

Bidault upadnie, Bidault stworzy rząd, dostanie inwestyturę, socjaliści otrzymają jeszcze jeden fotel. I Tousserin wyjaśniał krótko: tak albo nie. Cytował opinie nieznanego Stewessowi zakonspirowanych osobistości. Stewess nigdy nie pytał, kto wyznaje i lansuje te poglądy. Wystarczało mu, że przepowiednie zwykle się sprawdzały i że komentarze oparte na owych opiniach przysporzyły mu dużą sławę korespondenta o nieomylnym wprost wyrobieniu politycznym.

Tousserin przemówił:

— Uderzamy pięścią w stół. Pomagamy otrzeźwić liberalnej burżuazji, socjalistom i całej holocie, tym głupcom i śpiącym matolekom, którzy ze względem spokojem znoszą obecność komunistów w Izbie Deputowanych. Chcemy, by się ocknęli. Uspokajamy ich dziś, by jutro dojrżeli niebezpieczeństwem w całej okazałości. A im sen jest spokojniejszy, tym bardziej niemile, raptowne przebudzenie. Strajku nie będzie. Ot, co najwyżej jakieś małe przerwy w pracy.

*) Siedziła francuskiej policji politycznej.

Stewess uśmiechnął się z niedowierzaniem.

— Kto wie? Kto wie, co może być? Nawet my tego nie wiemy w stu procentach.

Tousserin rozłożył ręce.

— Pan twierdzi, że możecie nie dopuścić do wybuchu strajku? — spytał nerwowo Stewess.

— Tego nie twierdzą, wiem bowiem, że pan zna się na rzeczy. Rozmawiając z panem, nigdy bym się nie odważył na wypowiedzenie takiego twierdzenia. Natomiast podkreślam, że będziemy dążyć przy pomocy wszelkich środków, by stworzyć taką trwałą i stałą sytuację, w której wybuch strajku w ogóle nie będzie możliwy. Rozumie pan, co to znaczy?

Stewess skinął twierdząco głową.

3.

Stary Carmasse spędził niespokojny wieczór. Początkowo nic nie zapowiadało, że nadchodzące godziny mogą przerwać odpoczynek, jakiemu Carmasse oddawał się od chwili powrotu z fabryki do domu.

Carmasse nie był na całym zebraniu. Uważał, że wiek zwalnia go od obowiązku uczestniczenia w męczących zgromadzeniach, tym więcej, że jego udział w nich ograniczał się zwykle do milczącej obecności. Carmasse nigdy publicznie nie przemawiał. Był z natury nieśmiały, a poza tym głos miał słaby i śmiesznie piskliwy. Niekiedy nawet chciałby coś powiedzieć. Jednak gdy tylko o tym pomyślał, już czerwieniał na twarzy — krew uderzała mu do głowy, serce biło z wielką siłą, robiło mu się gorąco. Najwyżej więc zaznajamiał szeptem z nurtującymi go wątpliwościami sąsiada, który, gdy uznał to za stosowne, wypowiadał głośno jego myśli jako swoje.

Zwolnił się zresztą u Duvin'a — chciał być w porządku.

— Wszyscy są za strajkiem. Przystąpienie murowane, czy mogą po robocie iść do domu? — spytał delegata. — W zaduchu i od gorąca słabo mi się robi.

— Ładnie byśmy wyglądali, żeby wszyscy związkowcy brali tak czynny udział w życiu robotniczym jak ty, żeby od twojego udziału w zebraniu zależało przystąpienie załogi naszej fabryki do strajku. Idź, stary, do domu, a nie zapominaj przed snem napić się ziółek.

— Nie gniewacie się na mnie, towarzyszu — dopytywał się Carmasse, zaniepokojony długą repliką Duvin'a.

Duvin machnął ręką.

— Idź do żony. Ale żebyś się dowiedział, co jutro robimy.

Carmasse pracował w narzędziowni. Zdrowie stracił w fabryce, w której dosłownie spędził całe życie. Dyrekcja „znała” zasługi jednego z najlepszych niegdyś mechaników samochodowych, co wyraziło się w... umieszczeniu go w narzędziowni. Do żadnego bowiem większego wysiłku schorowany, przeszło sześćdziesięcioletni Carmasse nie był zdolny.

— Pójdę do domu. Przedtem zajrzę jednak na zebranie — postanowił Carmasse.

Trochę ruszyło go sumienie: „a nuż socjaliści nawalą i o strajk trzeba będzie się klócić?”, trochę zaś zaniepokoił go suchy ton, jakiego użył Duvin w stosunku do niego.

Hala montażowa pełna była ludzi. Pod wysokim szklanym sufitem kłębiła się wielka chmura tytoniowego dymu. Robotnicy podjęli hasło strajku jeszcze przed rozpoczęciem zebrania. Każdy dzień, każda bytność robotniczych żon w sklepiu po zakupie, każda dniówka w fabryce mówiły o konieczności strajku. Zebranie przedstrajkowe dało pełny wyraz tym nastrojom. Jeżeli trwałoby długo, to tylko dlatego, że do głosu było zapisanych przeszło dwudziestu mówców spośród załogi fabrycznej.

ciąg dalszy nastąpi



SWIAT o tym wie!

6.800 PROCENT ZYSKU I ŻONA CEZARA

Prezydent Truman miał znowu przykrość. Zaledwie miesiąc temu wylał przewodniczącego partii demokratycznej a swego serdecznego przyjaciela, Boylego, który okazał się zwykłym łapownikiem, a oto wybuchł nowy skandal. Na miejsce Boylego powołano na przewodniczącego partii Franka McKinneya. Zaprotegował go Trumanowi niejaki McHale. Na specjalnie zwołanej konferencji prasowej McHale oświadczył, że McKinney jest mężem zupełnie wyjątkowym: jest czysty jak łaźnia i nie zamieszany w żadne afery. „McKinney — jak żona Cezara — jest poza wszelkimi podejrzeniami” — stwierdził McHale.

Empire Tractor Corp. Żeby zdobyć zamówienia rządowe, zwrócił się do dwóch wpływowych polityków partii demokratycznej — właśnie McHale i McKinneya. Za usługę ofiarował im 1.000 akcji przedsiębiorstwa po... 1 cent za sztukę. Następnie odkupił od nich te akcje po 68 dolarów.



WICEPREZYDENT I SEKRETARKA

Politycy nie wzięli więc łańpówki, tylko „zarobili” na tej transakcji 6.800 procent. Później Cohen ogłosił bankructwo i nie zapłacił długów wierzycielom.

Nowy skandal w partii demokratycznej ogromnie zepsuł humor Trumanowi.

Na pocieszenie dowiedział się, że wiceprezydent Barkley też jest w opałach. Jego osobista sekretarka od lat trudniła się wyrabianiem posad i załatwianiem brudnych interesów w różnych urzędach federalnych. Choć Barkley zapewnił dziennikarzy, że jego sekretarka robiła to tylko z nadmiaru dobroci — nikt nie chce w to wierzyć.



FRANK MCKINNEY

W ub. tygodniu okazało się, że jednak cień pada na żonę Cezara. A było tak: w r. 1946 byznesman Frank Cohen założył firmę p. n.

PAN MINISTER NA INSPEKCI

„Minister wsiadł do siedmiotonowego samochodu pancernego, zbrojnego w dwucalowe działko. Cały konwój liczył 12 takich pancerek. Wzdłuż drogi rozstawiony był kordon żołnierzy i policjantów z bronią gotową do strzału. Bagnety na karabinach. W drugim dniu podróży ujęto partyzanta z granatami ręcznymi. Straż przyboczna ministra została wzmocniona.

„W zagłębiu cynkowym Ipoh lotnisko zamknięte zostało kordonem 300 żołnierzy. Lansjerzy z 12 pułku otoczyli ministra ścisłym kręgiem, odprowadzając go z samolotu do pancernika. Dowódca ochrony zakomenderował: „Zamknąć kłape!” i minister oglądał kraj przez wąską szczelinę w pancerniku”.

Chcecie wiedzieć, jacy to ministrowie i w jakim kraju



SIEDMIOTONOWA PANCERKA

podróżują w ten sposób? To brytyjski minister kolonii, przyjaciel Churchilla, Olliver Lyttelton, milioner angielski

a zarazem przywódca konserwatystów odbywa podróż inspekcyjną po Malajach. Opis tej podróży zawdzięczamy ko-

respondentowi amerykańskiego tygodnika „Time”. Zdjęcie — oficjalnej agencji brytyjskiej Reutersa.

GANGSTERZY I MASKOTKA



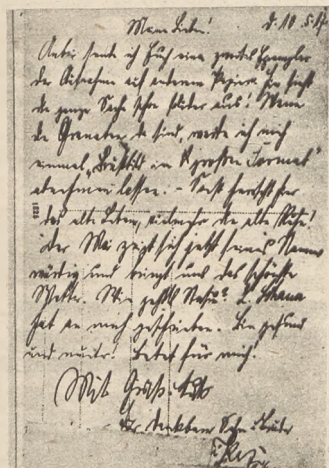
Zdjęcia powyższe ukazały się w amerykańskim tygodniku „Life” z bardzo pochlebnym komentarzem. Po nalocie na miasta i wsie koreańskie, amerykańscy piraci powietrzni

szczerzą zęby do fotografa, dumni ze swych krwawych wyczynów, a jeszcze dumniejsi z maskotki na swym samolocie. Trudno osądzić, kto jest bardziej zwyrodniały: lotnik,

który tak ozdabia swą śmiercionośną maszynę, czy redaktor pisma, który uważa to za wspaniały objaw „amerykańskiej tężyzny”.

Z ALBUMU STAREGO FELDWEBLA

Ks. biskup Kowalski odmówił przyjęcia delegacji, natomiast na dzień zjazdu wyznaczył księżom ze swej diecezji specjalne zajęcia. Widocznie



10 maja 1917 roku feldwebel Kowalski z armii kajera pisał do rodziny:

„Przesyłam Wam w załączeniu drugą odbitkę fotografii na lepszym papierze. Tutaj wyglądam już znacznie solidniej! A kiedy dostanę wyłogi — wtedy zamówię sobie u fotografa popiersie w wielkim formacie...”

Dlaczego interesujemy się feldwebel Kowalskim i jego zamierzaniem do pruskich mundurów i dystynkcji?

Dlaczego, że ówczesny feldwebel Kowalski i dzisiejszy biskup Kowalski z diecezji chełmińskiej to jedna i ta sama osoba, która na dobitkę w pełni zachowała stare, pruskie sentymenty.

Wyszło to na jaw w momencie, gdy księża diecezji chełmińskiej zwrócili się do swego biskupa o zezwolenie na wzięcie udziału w wrocławskim zjeździe duchowieństwa i działaczy katolickich, na którym zgłoszono protest przeciwko rewizjonistycznej propagandzie hitlerowskiej wobec naszych granic na Odrze i Nysie.



„WYGLĄDAM SOLIDNIEJ”.

mniema, że obowiązuje go nadal lojalność wobec Hohenzollernów (tak mu było do twarzy w pruskim mundurze!). Tak samo sądził zresztą w czasie wojny, kiedy podejmował u siebie hitlerowskich oficerów. Zapewne wyciągał



POPIERSIE W WIELKIM FORMACIE.

wtedy z albumu stare fotografie i wzruszony pokazywał je swym gościom z „Wehrmacht” i „Waffen - SS”.

Były czasy, ale wyszły — i to bezpowrotnie. Byłoby więc dobrze, gdyby ks. biskup przywykł do myśli, że odkąd nastała Polska Ludowa — każdego obywatela obowiązuje bezwzględna lojalność wobec interesów narodu i państwa.

KORONACJA GŁUPOTY

W nieustannej pogoni za reklamą amerykańskiej firmy wymyśliły i nadały w r. 1951 następujące tytuły:

Królowa Kapeluszy
Królowa Win
Królowa Makaronu
Królowa Ryżu
Królowa Przesyłek Towarowych

Miss Kwiatów Zamawianych Telegraficznie

Dziewica Bawełniana
Miss Cytryna
Miss Budzik

Miss Drabina Aluminiowa
Miss Pszczołka
Miss Odpoczynek Piękności (nazwa pospolitsza: Miss Materac)

Dziewczę z Najlepszym Kontaktem (reklama grzejników elektrycznych)

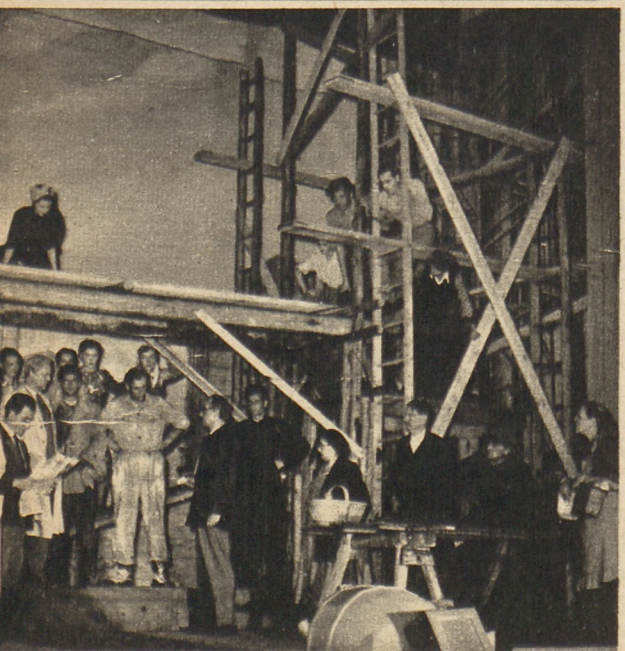
I, wreszcie, Miss Cmentarz. (Dewiza: „Myślcie o cmentarzu”).

Od razu widać, że lista jest niekompletna. Brak Miss Bomby Atomowej no i, oczywiście, Królowej Absurdu.



SZTUKA POLSKA NA WĘGRZECH

Na Węgrzech cieszy się dużym powodzeniem sztuka polskiego autora, Rojewskiego, pt. „Tysiąc Walecznych”. Sztukę Rojewskiego wystawił już Teatr im. Szigligeti w Bekescsábe, a 17-go b. m. odbędzie się druga premiera w mieście Szolnok.



PORYWAJĄCY TANIEC

„HARNASIE” W WARSZAWIE

ARTUR MARYA SWINARSKI

JEST to fakt, który nie podlega dyskusji, że balet polski i w ogóle polski taniec artystyczny osiągnął dzisiaj poziom, do którego przed wojną nigdy się nie zbliżał, nawet wówczas, gdy wysyłał się za granicę reprezentacyjne zespoły. Balet nasz pogłębił się, wyszlachetniał, wyrzucił się banału i tego wszystkiego, co w nim tkwiło ze złej tradycji, natomiast wydobyl, ożywił i podtrzymuje to, co z tradycji tańca polskiego i światowego jest żywotne.

W tej chwili ożyli na scenie Opery Warszawskiej „Harnasie” Karola Szymanowskiego, ożyli wspólnie, bo po raz pierwszy partytura wielkiego kompozytora została odczytana i odtąńczona jak na to zasłużyła. Tak twierdzą wszyscy, którzy widzieli „Harnasiów” w dotychczasowych realizacjach. Cztery Nagrody Państwowe uwieńczyły tych, którzy się najgorliwiej przyczynili do hołdu złożonego kompozytorowi. Nagrodę otrzymali: choreograf Miszczyk, dyrygent Mierzejewski, Barbara Bittnerówna i Zbigniew Kiliński.

Nie mieliśmy dotąd tylu zespołów baletowych ani tylu rzetelnych artystów w tych zespołach. Dowodem naszego bogactwa jest chociażby to, że stać nas aż na dwie „Panny młode” w warszawskich „Harnasiach”: tańczą tę partię Olga Glinkówna i Barbara Bittnerówna, każda w swoim rodzaju świetna. Glinkówna żywiołowa i dramatyczna, a Bittnerówna...

Żadna z naszych tancerek nie sprawia fachowcom i laikom takich niespodzianek jak Bittnerówna. Zdarzało się, że oglądaliśmy wielkie aktorki w lichych sztukach, potrafiły te aktorki wypełnić swoim talentem pustkę „Dam Kameliowych” i „Adriennes Lecouvreur”. Bittnerówna daje zmurszałej staruszce „Copelii” zastrzyk świeżej krwi i staruszka — nagle nie do poznania. Sławny walc pisany dla piruetów i według tradycji suto ozdobiony piruetami, u Bittnerówny obywateli się bez nich. Ale Bittnerówna daje więcej, niż wymagał Delibes i więcej niż może wymagać muzyka Delibesa.

Postać Lalki w tym baletcie jest efekciarską łatwizną i zdawało by się, że na to nie ma rady, ale Lalka Bittnerówny przerasta i muzykę i całą osiemdziesięcioletnią tradycję tej postaci. Podkreślić należy, że ta aktorka o wyjątkowo wymownej mimice musi tutaj z niej zrezygnować, bo tego wymaga rola. Istnieje w tańcu klasycznym figura „arabesque”; nie będę jej opisywał, bo każdy, kto ogląda Bittnerównę, powinien znać tę figurę, tak jak każdy kto patrzy na „Dar Pomorza”, powinien wiedzieć, co to wanty i reje. „Arabesque” ma parę odmian, ale Bittnerównie to nie wystarczy; w tańcu p. t. „Jesień”, daje arabesce nowy kształt, taki jakiego wymaga muzyka Czajkowskiego i sens jej koncepcji tanecznej. Nie spodziewamy się tej „deformacji”, zaskakuje nas w pierwszej chwili, ale natychmiast rozumiemy, że nie mogło być inaczej.

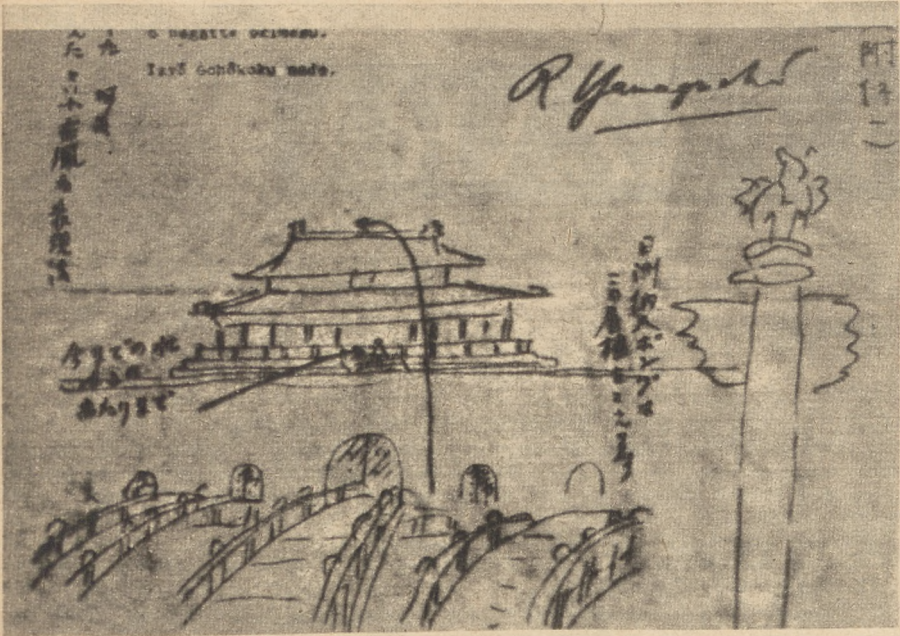
Bittnerówna tańczyła do muzyki złej i dobrej; złą pogłębiała, dobrej nie krzywdziła. Teraz (zresztą po raz drugi w życiu) tańczy do muzyki Szymanowskiego. Miszczyk i Mierzejewski czuwają nad jej tańcem, a Kiliński i Gruca wyrrywają ją sobie (tego wymaga akcja baletu...).

W tak idealnych warunkach jak obecne, Bittnerówna dotąd nie pracowała. I mieliśmy wieczór pełen niespodzianek i przede wszystkim był to pokaz wielkiego aktorstwa,



W baletcie „Copelia” do muzyki Delibesa.
i w „Fontannie Bachczysaraju”.





Pozostający ostatnio na służbie Amerykanów szpieg japoński Riuchi Jamaguchi naszkicował plan ostrzelania z granatnika członków rządu w Pekinie.



Włoch — Antonio Riva służył niegdyś Mussoliniemu. Z rozkazu wywiadu amerykańskiego miał przy pomocy tego granatnika ostrzelać trybunę w Pekinie.

斬斷帝國主義侵略中國的魔爪

北京破獲美國間諜陰謀暴動案

ZA KRÓTKIE RĘCE CHLEBODAWCĄ BYŁ MUSSOLINI A PÓŹNIEJ HARRY TRUMAN...

Wczesną jesienią ub. roku przed sądem w Pekinie stanęło 7 ludzi: był to ostatni akt wielkiej roboty szpiegowskiej, prowadzonej w Chinach Ludowych przez wywiad Stanów Zjednoczonych. W sprawie tej odnajdujemy elementy, które cechują brudną robotę amerykańskiego wywiadu — obojętne, nad Wisłą czy nad Żółtą Rzeką.

PŁK. DAVID BARRETT był w dawnej ambasadzie USA w Pekinie attache wojskowym — on też był tym, który ciągnął sznurki swych marionetek. Pracująca dla niego siatka szpiegowska składała się z ludzi, wychodowanych w faszystwach różnej maści, wypróbowanych w wywiadach różnych imperializmów i zjednoczonych wspólną miłością do dolara oraz nienawiścią do postępu.

Antonio Riva nie tak dawno paradował w czarnej koszuli — on to w roku 1926 zorganizował i przez całe lata stał na czele włoskiej komórki faszystowskiej w Pekinie. Później był głównym sekretarzem misji lotniczej, wysłanej przez Mussoliniego do Chin dla wspomnienia Czang Kai-szeka w tłumieniu ruchów rewolucyjnych ludu chińskiego. Od r. 1937 Riva służył wywiadowi japońskiemu, informując Syna Niebios — Hirohito o sprawach ziemskich, interesujących go w Chinach. Logiczną kolejną rzeczą signor Riva trafia do wywiadu amerykańskiego: mr. Barrett jest mu szczerze wdzięczny za 115 raportów szpiegowskich.

Japończyk Riuchi Jamaguchi odebrał staranne wychowanie w wywiadzie Kraju Wschodzącego Słońca, a kiedy to słońce zaszło — znalazł w osobie mr. Barretta nowego chlebodawcę. Riva i Jamaguchi szykowali się do zamachu na życie Mao Tse-tunga; z granatnika mieli ostrzelać trybunę rządową podczas obchodu Święta Narodowego w Pekinie. Z japońską skrupulatnością Jamaguchi przygotował był nawet szkic sytuacyjny dla wprowadzenia w życie zbrodniczego planu.

Tarciscio Martina był oficjalnie delegatem nuncjusza arcybiskupa Riberi

z „Watykańskiej Misji Dyplomatycznej w Chinach“, natomiast nieoficjalnie zbierał dla płk. Barretta materiały szpiegowskie i gromadził w swym domu broń i amunicję — sukienka duchownego służyła za osłonę!

Francuz Henri Vetch był najpierw oficerem artylerii francuskiej armii kolonialnej a później urządził w prowadzonej przez siebie księgarni w Pekinie centralę szpiegowską.

Nie brak w tym towarzystwie autentycznego hitlerowca: Walter Genthner doskonale pasował do zespołu płk. Barretta. Włoch — Quirino Gerli i zdrajca swej ojczyzny, Chińczyk — Ma Hsin-ching uzupełniali tę kolekcję.

Prolog? Wywiad japoński, włoski i francuski. Akt pierwszy: szpiegostwo przeciw Chinom Ludowym i szykowanie zamachów na życie przywódców ludu chińskiego — na zlecenie wywiadu amerykańskiego. Akt drugi i ostatni: sąd w Pekinie.

Chińskie władze bezpieczeństwa pokrzyżowały plany mr. Barretta i jego pupilków. Na stole wśród dowodów rzeczowych znalazł się i ten granatnik, który służyć miał za narzędzie mordu, i 1.642 raporty szpiegowskie i wielka kartoteka „rozpracowująca“ przywódców narodu chińskiego i „raport specjalny“ opracowany przez Riwę dla niezującego już dziś senatora Vandenberg, który przewodniczył za życia Komisji Spraw Zagranicznych Senatu Stanów Zjednoczonych.

Ale tak jak nad Wisłą, tak i nad Żółtą Rzeką za krótkie ręce mają ci panowie spod znaku swastyki, różeg liktorskich czy „wschodzącego słońca“, by móc na zlecenie imperialistycznego wywiadu amerykańskiego zatrzymać bieg historii...



Tarciscio Martina (w ciemnym garniturze) również przeszedł ze służby u Mussoliniego na służbę u Trumana, gromadząc materiały wywiadowcze oraz broń.

Za krótkie ręce mieli faszystowscy szpiedzy i zamachowcy... Władze bezpieczeństwa pokrzyżowały ich plany wymierzone przeciw narodowi chińskiemu.



UCZTA BALTAZARA

POWIEŚĆ

Ilustracje: IRENA KUCZBORSKA

„Ale plan jest dla nas do wykonania, bo mamy dla wykonania takiego planu w przewidywanym czasie takich ludzi. Została nam do wykończenia niemała ilość prac. Jeszcze nasze moło zachodnie nie jest w porządku, jeszcze z równaniem i zacementowaniem placów pod węgiel daleko nam do zadowalającego stanu, toż tyczy prac przy przerzucaniu torów bliżej nabrzeży i w ogóle wzbogaceniu ich sieci. Toż tyczy wyporządzenia dostatecznej ilości transporterów. Toż tyczy i ramp przeładunkowych i magazynów. I usprawnień w instalacji oświetleniowej i instalacji sygnalizacyjnej. A również naszych prac kształceniowych. Przecież port nasz zatrudni do pięciuset ludzi.

„A wielu na taką cyfrę może być u nas fachowców? Bardzo niedostateczna ilość, Olikena nam ich dostarczy. A wyszkolą ich kursy portowo-morskie, które prowadzimy. Z nieba nam przecie nie spadną ani trymarze ani sztauerzy, ani pracownicy od maklerki czy spedycji czy od szyphandlerki. Na miejscu się o nich postaramy. Jak już było w Gdyni, czy w Gdańsku czy w Szczecinie w podobnej sytuacji, przygotowanych na sto dwa. Co do tego też zawodu nie będzie.

„Ale czasu nie mamy za dużo. Jednej zbędnej doby! Jednej zbędnej godziny! Lecz kiedy wykorzystamy w pełni nasze siły, zdążymy. I port, który poznaliśmy cichy, zaroi się jak Gdynia, Szczecin czy Gdańsk, życiem. Puste baseny wypełnią się. Dzień po dniu przewijając się zacząną dziesiątki różnych jednostek, szkunerów, żaglomotorowców, rudowęglowców, berlinek, a w wodzie basenów i kanałów, odwyklej od tego, kominy i reje. Jeszcze jeden obiekt stanie na nogach. Jeszcze jeden wkład w to, aby cały nasz kraj mieć wreszcie na chodzie. Jeszcze jeden krok, który umacnia nas, a przez to obóz do którego należymy. Obóz sprawiedliwości i pokoju. A my godni tego, aby nam było poruczone następne zadanie”.

Kapitan Birkut zszedł pierwszy z estrady. Za nim wysunęli się jeden po drugim reszta ludzi z prezydium, mijając się z członkami orkiestry na schodkach prowadzących ku scenie, której obecnie do poprzednich kolorów przybijały zaczęły srebrny i złoty. Na przemówieniu Birkuta kończył się oficjalny program akademii. Lada chwila miała się rozpocząć część artystyczna. Kapitan Birkut stanął w drzwiach wyjściowych na dwór i zapalił papierosa. W tym momencie Andrzej Uriaszewicz zdecydował się do niego przystąpić.

Przyjechał przed godziną. Z dworca udał się do portu, tam strażnik przed kapitanatem, zapytany o Birkuta, wskazał Uriaszewiczowi wielki, różowy afisz nalepiony na bramie. Andrzej przypominał sobie, że zaraz za dworcem widział kino i tłoczących się ludzi i że po drodze mijali grupki osób, zapewne również spieszących na tę akademię, zapowiadaną różowym afiszem. Poszedł ich śladem.

— A jesteś — Birkut wyciągnął rękę.

Uriaszewicz uściśnął ją mocno, nie odzywał się jednak. Czekał aż oklaski umilkną.

— Prosto z pociągu, który miał spóźnienie — rzekł na koniec.

— No, to byczo.

Kapitan rzucił papierosa, a rozpiawszy guzik od koszuli począł ocierać z potu włosy i szyję, tak jak przed tym na scenie ocierał twarz.

— No, to byczo. — Głosem też się zdradzał, że jeszcze nie ochłoniął po swoim przemówieniu. — Dobrze zrobił.

Coraz to przekładał chustkę z ręki do ręki. Witał się z podchodzącymi. Słuchał ludzkich głosów, mrużąc z uwagą z lekka kose oczy, bagatelizując niezmienne cudze pochwały, kiedy dotyczyły jego swady.

— A tam, takie moje trzaskanie dziobem!

W pewnej chwili natknął się spojrzeniem na Andrzeja, który usunął się na bok.

— Zaraz dostaniesz adres, gdzie zamieszkas — przywołał go do siebie. — A pogadanie musimy niestety odłożyć do jutra. Diabelski zrobił się u nas młyn.

— Wiesz — rzekł Andrzej — słyszałem twoje przemówienie.

Lecz zanim zdążył dodać coś do tej suchej informacji i znaleźć słowa, by wyrazić co czuł, już Birkut dyskutował ze starszą, chudą, wysoką kobietą o siwych włosach, krótko przyciętych.

— Z duszy, serca chciałbym, ale nie da rady, kierowniczo! — kręcił głową — co to nie!

Dom, dziecka dopiero w tym roku powstający w Olikanie, do którego za dwa tygodnie przybywał pierwszy turnus dzieci, nie miał jeszcze okien, drzwi, podłóg. Kierowniczka domu, panna Leszczyńska, liczyła, że port w tej mierze przyjdzie jej z pomocą i klarowała przyczyny swoich trudności.

— Obciapali wam kredyty — Birkut westchnął ze zrozumieniem. — A najgorsza rzecz, że to u was taki pilny termin.

Suche, blade policzki nauczycielki, wzrostem nieomal równej Birkutowi, zaróżyły się.

— Gdybyście tylko zgodzili się za moją sprawą u siebie poagitować!

— Kogo?

— Ludzi!

— Chyba naturę, żeby im udzieliła nadludzkich sił i zdrowia — szarpnął się Birkut. — U nas w porcie teraz ani się nie śpi po ludzku, ani nie je. Gdzież ja miałbym sumienie w podobnej sytuacji ludziom jeszcze wasz Dom zwać na głowę!

Przy kapitanie stanął niepostrzeżenie szpakowaty, co najmniej pięćdziesięcioletni mężczyzna, o wyrazistych rysach i mocno krzaczastych brwiach.

— Chodźcie, kapitanie — pociągnął za rękaw Birkuta. — Chcą już zaczynać.

— Dobrze, bosman. Idę!

Ale mimo zapewnienia kapitan wstrzymał się ze swoim odejściem.

— Nie miałbym sumienia — powtórzył. — Z tych paru godzin wypoczynku, jakie ludziom zostają, znowu urywać! Słyszeliście chyba co ja przed chwilą wywoździłem na sali o ludziach w porcie!

— Ja właśnie słyszałam!

Birkut zwrócił się w stronę bosmana, biorąc go na świadka.

— Dorzućcież i wy wasze słowo, jak u nas z ludźmi — rzekł. — Z ludźmi, którzy mają za sobą poniewierkę wojny i okupacji, a czasami ciężkie lata przedwojenne, i którzy spalają się dziś w odbudowie, jak świeczka zapalona z dwu końców naraz.

Czczuga zmarszczywszy gęste brwi słuchał.

— Gdyby tak później — dodał kapitan — teraz ludzie są strasznie przemęczeni. Nieprawdaz, Czczuga?

— A owszem, są, — zgodził się z nim bosman, lecz co do samego sporu był różnego zdania. — Ale w takim wypadku, właśnie młodzież, to ludzka otucha. Stąd ja myślę, że wielu nas przyłoży rękę do waszego Domu, kierowniczo. Nie odwołujcie turnusu. My w porcie na temat waszej sprawy pogadamy.

— Bo ja do domu bez okien, bez drzwi, nie przyjmę dzieci. Pomarzyłby mi. Pozaziębiałyby się.

— Oczywiście — przytaknął Czczuga. — Oczywiście!

— Ach jeszcze ty — kapitan Birkut spojrział na Uriaszewicza. Wypisał mu adres zarezerwowanego pokoju. Podał mu kartkę. — Dasz sobie radę?

— Z pewnością — odparł Andrzej Uriaszewicz. — Ty się już o mnie nie kłopotcz.

ROZDZIAŁ XXIV

Po skończonej akademii Uriaszewicz wyszedł na ulicę. Fala ludzka poprowadziła go w kierunku miasta. Lecz jej nurt prędko się urywał. Jednym o tej porze wypadał prośbę, dla innych zaczynała się praca. Nie minął kwadrans, a na rynku, z którego rozbiegał się w różne strony dziesiątek ulic, Andrzej znalazł się sam. Natrafił na jakąś restaurację. Nieodłączną teczkę złożył na parapecie okiennym. Zamówił byle co, nie spojrzawszy na kelnerkę, która przyniosła kartę. Miał głowę pełną Birkuta.

W drodze, podczas długiej nocy i niekończącego się popołudnia, drzemał i budził się. Budził się i drzemał. Nie mógł w żaden sposób na dobre zasnąć. Wagon unosił go dalej i dalej, a on siedział zwrócony w bok, na przemian zamykając oczy, to otwierając je na świat za oknem. Świat najpierw czarny, potem zwolna siniejący, na koniec zielony. Coraz robiło mu się na sercu ciężiej. Wspomnienia ostatnich dni przetasowywały się. Na stacjach, albo w polu, pociąg przelatywał koło innych, jadących w odwrotnym kierunku. Ciągnęło wtedy Uriaszewicza coś, żeby wyskoczyć. Na każdej stacji nachodziła go podobna pokusa. Nie była to chęć, by wrócić, ale wzrastający opór przeciw temu, co postanowił.

Nie schodziły mu z myśli słowa Hazy, na których się oparł, wskazówki Rokicińskiego którym zawierzyl. Rozgryzał je i rozgryzał. Jeszcze raz i jeszcze raz. Nie mógł jakoś uchwycić w nich tego sensu, który dostrzegał początkowo, tego wiążącego sensu, który go pchał w drogę. Sądził jednak, że dzieje się tak dlatego, ponieważ operacja, na którą się zdecydował, im bliżej Olikania, tym bardziej staje się dlań odpychająca. I stąd ta zmiana.

Ale zarazem pewien był, na to gotów był przysiąc, że gdyby teraz dojeżdżał ze swojej wiejskiej szkoły do Warszawy i miał dopiero przed sobą wszystkie rozmowy, które go tam czekały, inaczej by poszły. Ale miał je już za sobą. Nie dojeżdżał. Wyjechał. Nie odezwał się. Na próżno oczekiwany od wielu dni w Jeżowej Woli, gdzie takim postępkim przypieczętował jeno swoją sprawę.

A potem spadło nań przemówienie Birkuta, Brzmiało w nim wciąż. I wtedy, kiedy zatrzymał się opodal Birkuta i teraz, kiedy tkwił nad obrusem, z oczami wbitymi ciężko w stół. Zjadł, co mu przyniesiono, zajęty swymi sprawami, skupiony na jednym. Zapłacił, a zamknawszy drzwi restauracji, przeciął na ukos rynek, zgodnie z tym, czego się dowiedział przy kasie. Długo jednak błądził, zanim odnalazł dom, gdzie Birkut zatrzymał dla niego pokój. Daleko to było. Za mostem, za miastem, dobry kawał za ostatnimi willami nadmorskiej dzielnicy. Również blisko plaży, ale nie nad samą wodą. Brzeg w tym miejscu był stromy, ostrym klinem wcinający się głęboko w morze. Szukając osłony od wiatru, który miał tu dostęp ze wszystkich stron, dom zbudowano cofając go w las. Tak jak i pozostałe z całej letniej kolonii, zakrojonej kiedyś na większą skalę. Tylko, że tych pozostałych nie było. Nie ocalały. Wojna jeden jedynie oszczędziła.

— Pan do kogo? — usłyszał Andrzej.

W tym momencie dopiero ujrzał niedaleko domu przy grządkach kilkunastoletnią dziewczynkę, która na jego widok przerwała pienie, nie prostując się jednak.

— A mieszka tu pani Zandowa? — upewnił się przed tym zerknąwszy do kartki, trzymanej w ręku.

— A mieszka.

— Można z nią mówić?

— Ale mamusi teraz niema.

Twarz dziewczynki była okrągła, nalana, oczy szare, niespokojne.

— Ja tu z polecenia pana kapitań Birkuta — rzekł Uriaszewicz.

— Na pokój?

— Właśnie. A kiedy mamusia przyjdzie?

— Jutro wróci z Krzeniewa.

— Jutro! — zmartwił się Andrzej. — To co będzie?

Lecz córeczka pani Zandowej już stała przy nim, liściem łopianu ocierając sobie ręce, powalane mokrą ziemią.

— Ja panu pokój pokażę.

Pokój okazał się duży, na piętrze, z widokiem na las, a z dalszych słów dziewczynki okazało się znowu, że matka przygotowała ją na tę ewentualność, która oto zaszła, i nie tylko ją. Łóżko było świeżo zaściłane. Woda stała w wysokim



dzbanku koło metalowej umywalni. A w kuchni mogło być coś gorącego na obiad, jak również herbata.

Od niej Andrzej się nie wymówił. Zszedł z dziewczynką do kuchni i tu wypił jedną szklankę, a potem drugą. Przez uchylone drzwi zajrzał do pokoju obok, wielkiego, o trzech łóżkach. Panowała w nim ta sama czystość, co na piętrze i w kuchni.

— A z kim jeszcze mieszkacie? — zainteresował się Andrzej.

— Z ciocią. Jest chora.

Była to raczej babka dziewczynki, niż ciotka. Blisko osiemdziesięcioletnia starszka, która do niedawna trzymała się w zdrowiu, kręciła po domu, pomagała, pilnowała go, kiedy pani Zandowa udawała się do pracy, a jej córka do szkoły. Ostatnio dopiero zaczęła chorować. Dla niej to pani Zandowa pojechała do Krzeniewa, odwożąc starszkę do szpitala.

— A skąd państwo są?

Byli z Garwolina, gdzie mieli sklep, który od razu pierwszego dnia wojny się spalił. W następne dni uległa całkowitemu nieomal zniszczeniu reszta miasteczka. Tak, że po wyzwoleniu nie było do czego wracać.

A i szczerze mówiąc, nie było komu! Pana Zanda zaraz zabili, bracia jego zginęli w Treblince, ich dzieci różnie, dość, że wszystkie nie żyły, tak, jak również cała rodzina pani Zandowej, prócz jednej jej ciotki, tej, która teraz chorowała. Ze zdrowiem dziewczynki sprawa też nie przedstawiała się najlepiej. Mała Zandówna cierpiała na osłabienie mięśnia sercowego. Niespokojna była. Dla niej rzucano Łódź, gdzie pani Zandowa osiadła po wojnie.

— A w Olikanie? — spytał Uriaszewicz.

Dowiedział się wtedy, że to w Olikanie tak przytyła i że czuje się dobrze, a że przedtem bywało różnie. Mówiąc tak, nie miała na myśli Łodzi, ale lata wojny, obozów, tułaczki, getta, o których ona byłaby gotowa zapomnieć, ale o których zapomnieć nie mógł ani jej ustrój nerwowy, ani jej serce, ani jej oczy, szare, niewesołe, nieopanowanie ruchliwe.

— Miło tu — szepnął Andrzej.

Przez otwarte okno powiew szedł z lasu. Wirowały piskliwe mewy. Szumiały drzewa. Przykre wrażenie robiły tylko ruiny zburzonych domków, porozrzuconych po całej polanie, małych, najczęściej jedno albo dwupokojowych, pomysłanych na lato, przystosowanych później na zimę w tej fazie zmagania wojennych, kiedy ludzie w Niemczech zaczęli uciekać z masakrowanych miast. Ale i tu ich dostało!

— Samotnie tylko — uzupełnił swoją myśl Uriaszewicz. — A mieszkał tu już ktoś z państwem?

— Mieszkał.

— A czemu się wyprowadził?

— A zabrał się stąd raz w nocy ciężarówką i — już.

Powietrze zaczęło rozbierać Uriaszewicza. Zmęczenie też robiło swoje, a ponadto — herbata. Podziękowawszy za nią, poszedł do siebie. Zrzucił ubranie, bieliznę, wyciągnął się w czystej pościeli, lecz z podniecenia, niczym po kawie, nie udawało mu się ani rusz zasnąć. Co się zdrzemnął, to się ocknął. A kiedy od strony morza nadleciał wiatr rzeźki, przedwieczorny, chłodny, Andrzej zrozumiał, że nie wyleży. I po godzinie znowu znalazł się w mieście.

Ale nie w porcie! Jakoś nie mógł. Odszukawszy rynek, zajrzał raz — dwa do jednego czy drugiego sklepu. Kiedy jednak, kupiwszy co potrzebował, opatrzył się po chwili, że wreszcie jest na ulicy prowadzącej do portu, zwolnił kroku w pobliżu morza i skręcił w bok. Znalazł się w szerokiej pięknej alei, a po kilkunastu minutach u stóp wzgórza. Porastały je kwitnące krzewy. Pięty się po nim zakosami wzywał alejki. Na szczycie rysowały się dwie malownicze, starożytne baszty.

Widok był piękny już z tego miejsca, gdzie się zatrzymał. W prawo góra z ruinami zamku, w lewo — morze. Andrzej oparł się plecami o pień drzewa i patrzył. Nie przechodził nikt. Tylko słychać było, jak fale rozbijają się o brzeg, a w zaroślach pod ten głuchy wtór śpiewają ptaki.

Opodał właśnie był cmentarzyk, o którym wspomniał w swoim przemówieniu kapitan Birkut. Uriaszewicz natrafił nań po paru krokach. Grobów tu było nie wiele więcej ponad te, które wymienił. Na nieznacznej przestrzeni, zaledwie że pochyłej, unosiły w górę swoje proste krzyże i drewniane tabliczki. Przysstrzajały je świeże wieniec. Ale widać, pamiętano o nich nie tylko w takie dni, jak dzisiejszy, lecz również w powszednie. Poznać to było po bukietach zwiedłych, albo wręcz już zeschłych. A więc z dawnych dat i to nawet różnych.

Sunąc dalej w górę, Andrzej natknął się na ławeczkę. Przed wojną musiało się ich tu znajdować więcej, przeznaczonych dla tych, którzy przychodzili na spacer, obecnie jednak nikt nie miał czasu zająć się nimi, tak jak też nie miałby czasu z nich korzystać. Uriaszewicz otarł twarz z kurzu, potem tą samą chusteczką zmiótł z ławki nalot liści, nawianego piachu, pajęczyn, i usiadł.

Teraz nagle zobaczył port. Odsłonił się po lewej ręce, bliski, doskonale widoczny, do tej chwili zakryty garbem wzgórza, który Uriaszewicz minął. Dwa ramiona falochronów wyciągały się daleko w niebieskie morze. Za ich głowicami chybotwały się na fali wjazdowe boje. W pobliżu wewnętrznej strony zachodniego falochronu, przy wielkiej wyrwie, dokonanej bombą czy miną, stał ponton nurkowy. Można było doskonale na nim rozróżnić pompę nurkową i kilku ludzi. Od ludzi roił się zresztą cały teren na przeciwnym brzegu niż kapitanat. Tu pracowały brygady przy torach, inne przy cementowaniu miejsc dla placowania węgla, a dalej od nich, w głąb portu, jeszcze inne przy montowaniu transporterów. Prom, łączący oba brzegi, drgnął i zaraz popłynął. A teraz, zdążając od kapitanatu w stronę pontonu, pruć morze niedużą, szybka motorówka.

To był widok! Ptaki, które ucichły, kiedy się Uriaszewicz pojawił, na nowo się rozśpiewały w zaroślach, gdyż się od długiej chwili nie poruszały. Odległe głosy głuszył ponadto łoskot morza i piski niezmordowane kołujących mew. Tymczasem do uszu Uriaszewicza docierał jeno tenkot wypróbowywanych transporterów, stukot przy układaniu szyn, pykanie motorów. Zdawało mu się nawet, że wyróżnia delikatne dźwięczenie liny stalowej, na której chodził prom,

i tony bijaków, tłukących przy wszelkim żywym ruchu fal, dzwony umieszczone na każdej boi. Z takim natężeniem się wsłuchiwał! Patrzył też tak samo bez pamięci, bez tchu, tak, że nawet nie zauważył, kiedy wstał.

Powłókił się wyżej. Włókił się tak krok za krokiem nie ze zmęczenia. To ciśnienie całej masy odczuć, wrażeń, myśli, działały na jego poruszenia paraliżujące. Układał sobie w głowie swoje sprawy. Nocą w pociągu otrząsnął się z lęku, jaki zdołali w nim zasiać Haza i Rokiciński. Oprzytomniał. Ostygł. A dalej, zaledwie stąpnał na grunt Olikania, przeszły go słowa Birkuta, słowa, które mu pomogły.

Tu zaś, na odmianę, wśród tych woni leśnych, ptasich śpiewów i zielonych zarośli, naszło go z siłą wspomnienie z innego lasu. Z innych zarośli. Pewne wspomnienie z wczorajszego dnia. Naszło, aby natychmiast ustąpić kroku innym, wiele, wiele dawniejszym, sprzed wojny. Wspomnieniom letnich wakacji spędzanych nad morzem. Przepędził je. Wrócił myślą do sprawy, którą w Warszawie rozstrzygnął źle. Szukał teraz z tego wszystkiego wyjścia.

Znalazł się wreszcie na szczycie wzgórza przed ruinami zamku. Budowę skruszył czas i obojętność poprzednich gospodarzy tej ziemi, nie wypadki wojenne. Stan murów świadczył, że mieszkalność utracić musiały może sto, może dwieście lat temu. Z narożnych strzelistych baszt dwie jeszcze się trzymały. Zwieńczenia miały lekkie, renesansowe. Układ okien, na gładkiej powierzchni ścian

zachowanych, harmonijny. Nad wewnętrzną bramą, prowadzącej na dziedziniec, widniał herb mocno już barokowy. Naokoło wielkiej tarczy dekoracji, było tam, a dekoracji! A wnętrze jej, rozcięte pionowo na dwie klatki, dzieliły dwa heraldyczne zwierzęta: w jednej znajdował się gryf, w drugiej orzeł. Herb odbijał od murów i w tym również, że był wyraźnie odczyszczony. Zanim Uriaszewicz zdążył się zastanowić, łatwo mógł się domyślić, czyje to sprawiły ręce.

— Prosimy do środka — usłyszał starczy, wąty, trzęsący się głos. — Prosimy.

Z bramy, już na dziedzińcu, spojrział w prawo. Mur tego skrzydła był zwalony na całej rozciągłości. Zostało go ledwie tyle, że tu i ówdzie dawał gdzie przysiąść. Ale zniszczenie to otwierało zarazem na murze olbrzymie okno. Od dołu ograniczone niską linią kamiennego, zamkowego podmurowania; z boków basztą i ścianą naprzeciw bramy, pełną arkad, od góry jeno — niczym. Zaś widok przez nie był ten sam, co ze wzgórza. Tylko, że przez tę oprawę, przez to ograniczenie — jeszcze piękniejszy. Przestrzeń i przestrzeń.

Andrzej spojrział w lewo i wtedy zobaczył starszka, który na niego zawołał. Wysokiego, w białej chusteczce na głowie przeciw promieniom słonecznym, powiązanej z czterech rogów, w sandałach. Podszedł bliżej. Dostrzegł wówczas na dziedzińcu jeszcze kogoś i to — kierowniczkę Domu, o który dzisiaj tak molestowała Birkuta — panią Leszczyńską. Zajęta była tą samą czynnością, co jej stary kompan: obieraniem wątych pędów dzikiego wina i pnącej róży, porastających ruiny, z liszek.

— Prosimy do towarzystwa — ponowił swe wezwanie starszek.

Ale jego gest ku szczególnie anemicznym i pożółkłym liściom w pobliżu miejsca, które sam obrabiał, wskazywały, że nie przez czysty instynkt towarzyski odezwał się do obcego; ani z czystej gościnności.

— To tu taka jest opłata za zwiedzenie — uśmiechnął się do niego Andrzej.

— A właśnie!

Rzecz prosta, po chwili padło stereotypowe pytanie.

— Pan łaskawy od dawna w Olikanie? — postawił je starszek. — Bo coś mi nieznajoma twarz.

Na to znowu Uriaszewicz, zaspokoiwszy jego ciekawość, zwrócił się do panny Leszczyńskiej, powiadając, że już ją widział, gdyż stał opodał podczas jej rozmowy z Birkutem.

— A był kapitan potem u mnie.

— Dzisiaj? — zdziwił się Andrzej. — Znalazł czas?

— A znalazł — odparła. — On ma zawsze jakąś wolną chwilkę, zachowaną na czarną godzinę.

— A państwo już się tu zadomowili?

Okazało się, że to ojciec i córka. Od dwóch lat w Olikanie. Ona — naprzód w wydziale zdrowia w zarządzie miejskim, a dopiero od paru miesięcy kierowniczką zaledwie organizującej się placówki. On — przy córce.

— A skąd?

— Z Warszawy.

— Tak, jak ja — zauważył Uriaszewicz. — Do końca powstania.

W tej mierze ich losy i jego były jednakowe. Mimo tego porozmawiali moment o szczegółach tej jednakiej doli. Zakomunikowali sobie nawzajem swoje nazwiska. Tyle, że bez podawania sobie rąk, śliskich od liszek.

— Uriaszewicz — zmarszczyła się, szukając w pamięci panna Leszczyńska — nie obce mi nazwisko.

Znieruchomiała na parę sekund, póki się nie wydało skąd.

— A nie bywały z tobą dwie panny z tej rodziny? — poddał starszek.

— Czy czasem nie Wanda i Tosia? — dorzucił Andrzej.

Zgadzało się. Posypały się dalsze pytania.

— A co porabiają?

— A no, wegetują.

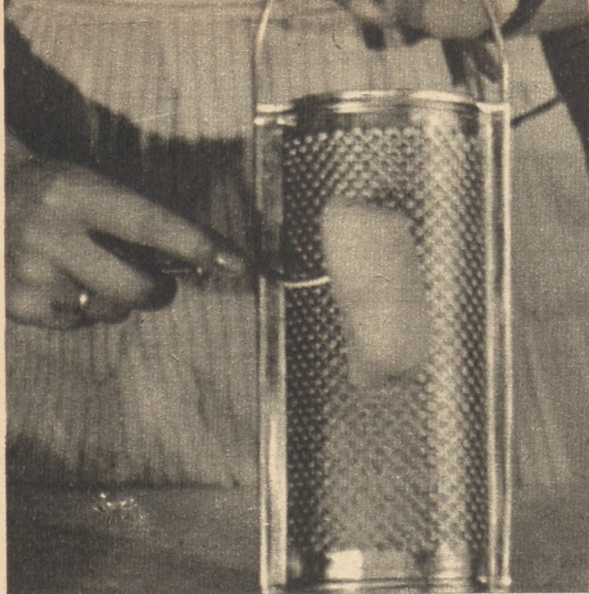
— A jak sobie radzą?

— A jakoś.

Jawnie dla wszystkich trojga po chwili nie było co dłużej o nich mówić.

Dalszy ciąg nastąpi





NIE NISZCZYĆ WITAMINY C!

ZIMA jest okresem, w którym musimy zwrócić szczególną uwagę na pożywienie. Latem spożywamy dużą ilość owoców i jarzyn, natomiast zimą zapominamy o ich racjonalnym wykorzystaniu. Wielu gospodyniom może wydawać się, że „zapas letni” może zaspokoić potrzeby organizmu aż do przyszłego roku. Tak jednak nie jest. Organizm nasz, aby mógł funkcjonować prawidłowo musi otrzymywać witaminy w ciągu całego roku. Nieracjonalna „gospodarka witaminowa” szkodliwie odbija się na naszym zdrowiu. Często nie zdajemy sobie z tego sprawy niszcząc witaminy przez nieumiejętne gotowanie produktów, w których się one znajdują.

Istotne znaczenie dla naszego organizmu ma przede wszystkim witamina C. Niedobór jej w organizmie powoduje wiele dolegliwości i chorób jak: skorbut, ból zębów i kości, obrzęk i krwawienie dziąseł. Brak witaminy C w organizmie dzieci wpływa ujemnie na ich rozwój i osłabia odporność na choroby zakaźne.

Jak więc uniknąć tych przykrych konsekwencji? Można oczywiście zażywać witaminę C w pigułkach, lub wziąć serię zastrzyków. Ale najzdrowiej jest, jeśli organizm otrzymuje ją w potrawach.

Najobfitszym „magazynem” witaminy C jest głóg, czarna jagoda i sok pomidorowy. Ale nie każda z nas ma przygotowany na zimę odpowiedni zapas tych owoców.

Dlatego też korzystajmy z jarzyn, które dostępne są przez cały rok: z kapusty kiszzonej, włoskiej, brukselki i... ziemniaków.

Odpowiednie, że przecież ziemniaki jemy codziennie i organizm otrzymuje odpowiednią ilość witamin. Tak, ale witaminę C, która się w nich znajduje, niszczymy często nieodpowiednim gotowaniem.

Jak więc gotować ziemniaki? Najlepiej na parze. Cienko obrane układamy w cedzaku (durszlaku) i zawieszamy na garnku, w którym znajduje się mała woda. Garnek przykrywamy pokrywką i gotujemy na silnym ogniu, póki ziemniaki nie zmiękną.

Ziemniaki nie tracą witaminy C, gdy trzemy je na tarce i przyrządzamy z nich pyzy lub placki kartoflane. Rada praktyczna. Gdy ścieramy sobie ręce na tarce, możemy trzeć nakłuwając ziemniak na widelec (patrz zdjęcie).

Ziemniaki gotowane w mundurkach lub pieczone w piecyku zachowują również swoje wartości odżywcze. Podane z surówkami, sałatką śledziową lub rybą wędzoną, urozmaicą nasze pożywienie. Z ziemniaków gotowanych w mundurkach powinniśmy przyrządzać takie potrawy jak krokiety, knedle ziemniaczane i „kopytka”.

AGATA



SZACHY

WYNIKI II KONKURSU ROZWIĄZANIOWEGO

Podajemy rozwiązania zadań konkursowych:

Zadanie A 11

1. Wc3—e3 Gg5+ 2. W:g5 1.... G:e3 2. W:e3

Zadanie A 13

1. Sh3 Sh3 2. Gb7 cH3 3. Wd1+ H:d1 4. G:f3+ H:f3 pat lub 1.... cH3 2. Wd1+ H:d1 3. Sf2+

Zadanie A 15

1. Hh7—h2

Zadanie A 17

1. d7 Kc7 2. Sb8

Zadanie A 19

1. e6 f:e6 2. Kc6! a6 3. Wh8+ Ka7 4. Wh7+ Ka8 (4... Kb8 5. Kb6 Wb5+ 6. K:a6) 5. Kb6 Wb5+ 6. K:a6 Wb8 7. Wa7 mat

Zadanie B 12

1. a:b4 H:a1+ 2. Kd2 H:h1 3. H:c6+ b:c6 4. Ga6 mat

Zadanie B 14

1.... Wg1! 2. W:a7 b5!! i wobec groźby 3.... Kc3 czarne remisują.

Zadanie B 16

1. Wf4 He7 2. Hd7 We6 3. Hc8+ (lub 3. H:e7) He8 4. Wf8+

Zadanie B 18

1. He7+ W:e7 2. Wd8+ We8 3. Wg8+ K:g8 4. W:e8 mat lub 1. Ge7+ W:e7 2. Wd8+ We8 3. W:e8+ K:e8 4. Wg8 mat.

Zadanie B 20

1.... e3! 2. Gd4 (na 2. d:e3 nastąpi 2... S:e3+ 3. S:e3 W:e3)

2.... Sf2 3. W:f2 H:g3+ 4. Kf1 e:f2 5. Se3 c5 6. Gc3 W:e3 7. d:e3 W:e3 8. Hd1 h4 9. Gd2 h3 i białe poddały się.

Nagrody za prawidłowe rozwiązanie zadań konkursowych wylosowali: „Amator”, Warszawa; Czarnecki St., Ziębice (Dolny Śląsk) ul. Kościelna 6, Skowroński A., Bielew (woj. wrocławskie) ul. Akacjowa 15; Kłyszajko J. Szczecin, ul. Wyspiańskiego 96. Nagrody wysyłamy pocztą i prosimy o potwierdzenie odbioru.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

19. Sd5 Hb8 20. Sf6+ lub 18... Hb6 19. Wd6 z groźbą 20. Sd5. Najlepszą grę daje w tym przypadku 18... He7 z ewentualną kontynuacją 19. Hd3 i 20. Hd6. Wprawdzie wydaje się, że przy takim obrocie wydarzeń atak czarnych zostanie odparty i położenie wieży na h5 może się okazać eksponowane, jednak posunięcie 16... Wh5 i związane z tym możliwości są niewątpliwie ciekawe.

Co do oceny całej partii, to sądzymy, że pomimo obustronnych niedociągnięć była ona — zwłaszcza w środkowej i końcowej fazie — interesująca.

Ob. Węgrzyński z Łodzi. Wydaje nam się, że 10-dniowy termin wysyłania rozwiązań jest wystarczający. Oczywiście, że można uczestniczyć w obu konkursach jednocześnie.

ROZRYWKI UMYSŁOWE

WIROWKA

Do podanej figury wpisać 8 wyrazów pięcioliterowych o poniższych znaczeniach w następujący sposób: pierwszą literę każdego wyrazu do kółka z liczbą, drugą do kółka wskazanego kreseczką, a dalsze wirowo dookoła liczby w kierunku zgodnym z ruchem wskazówek zegara. Litery, które znajdują się w podwójnych kółkach, czytane najpierw na większym obwodzie a następnie na mniejszym dadzą rozwiązanie.

Znaczenie wyrazów: 1) Roślina podobna do dyni 2) Ilość wyznaczona w określonym czasie 3) „Bagnet” w jęz. rosyjskim 4) Rodzaj zboża 5) W grze w domino: kamień bez oczek 6) Obrót, odmiana 7) Pęta, więzy 8) Jedna z największych rzek w Afryce.

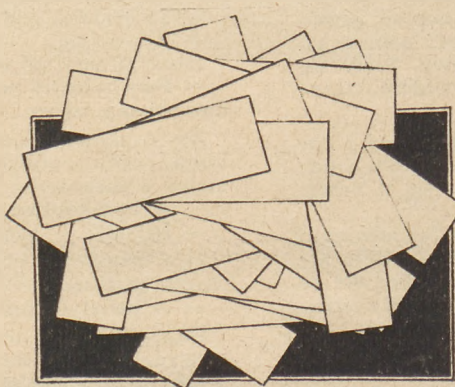
Rozwiązania należy nadsyłać w terminie 10-dniowym od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji z dopiskiem na kopercie „Rozrywki umysłowe”. Za dobre rozwiązanie przyznanych zostanie 10 nagród książkowych.



KTO OBLICZY?

Na podanym rysunku widzicie szereg biletów wizytowych rozrzuconych w nieładzie. Spróbujcie policzyć, ile ich jest właściwie?

Rozwiązania należy nadsyłać w terminie 10-dniowym od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji z dopiskiem na kopercie „Rozrywki umysłowe”. Za dobre rozwiązanie przyznanych zostanie 10 nagród książkowych.



ROZWIĄZANIA

ROZWIĄZANIE ZADANIA Z NR 18

SZYFROGRAM: Walcząc o Pokój chronimy przed zagładą dzieci i szkoły, ludzi i książki, życie i kulturę (wyrazy pomocnicze: Zulus, odzież, Pilica, kłacz, Dziady, silniki, chomąto, pączki, Łużyce, okręgi, wykrój, radzi).

Za dobre rozwiązanie zadania z nr 18 nagrody książkowe otrzymują: 1) Roman Dziubiński — Warszawa 27, ul. Powązkowska 62 m. 3, 2) Anastazja Guberska — Wałbrzych, ul. Oczi 8/13, 3) Mirosław Kaczyński — Zabrze, ul. 3 Maja 71, 4) Edmunda Minchbergowa — Warszawa 4, ul. Stalowa 43 m. 16, 5) Zbigniew Moskwa — Kielce, ul. Wesoła 40, 6) Helena Ostromecka — Karczew k/Otwocka, ul. Kościelna 37, 7) Edward Pietraszewski — Łódź, ul. Kopernika 33/29, 8) Tadeusz Skwarczyński — Wrocław, ul. Łukasiewskiego 15 m. 6, 9) Ewa Żabczyńska

— Warszawa 22, ul. Filtrowa 62 m. 34, 10) Romuald Zak — Warszawa 4, ul. Kowieńska 27 m. 33.

ROZWIĄZANIE ZADANIA Z NR 19

REBUS - ŻARCIK: Tu rosły lewkonie.

Za dobre rozwiązanie zadania z nr 19 nagrody książkowe otrzymują: 1) Jerzy Chromiński — Łódź, ul. Piotrowska 10 zarz. okręg. PGR, 2) Zdzisław Kawka — Miedzeszyn Nowy, ul. Reymonta 26, p-ta Radość, 3) Michał Laskowski — Warszawa 12, ul. Grottgera 17 m. 8, 4) Jerzy Parfiniewicz — Wesoła k/W-wy, ul. Niemcewicz 30, 5) Zbigniew Poinc — Gostynin, sanatorium Kruk, oddz. V, 6) Bronisław Rajnert — Łódź 7, ul. Lubelska 2 m. 15, 7) Adela Rekorowska — Kraków, ul. Michałowski 13/5, 8) Henryk Rogala — Pionki k/Radomia, ul. Podgóry 78, 9) Izabela Weronika Wonko — Słupsk, ul. Kniżewicza 22 m. 19, 10) Kamila Wójtowiczowa — Kościelisko k/Zakopanego.



Rozmawiamy o muzyce

INSTRUMENTUM A NIELSKIE

POZOSTAŁY nam do omówienia jeszcze trzy instrumenty w orkiestrze symfonicznej. Pierwszym z nich jest HARFA, znana już w starożytnym Egipcie. Była początkowo instrumentem pięknym, lecz prymitywnym. Udoskonalił ją Niemiec — Hochbrucker (XVIII w.) i Francuz — Erard (XIX w.) przez dodanie instrumentowi 7 pedałów. Jeśli umiesz, Czytelniku, zagrać na pianinie piosenkę „Na lewo most...” posługując się jednym pedałem, to wyobraź sobie, jak trudno jest operować lewą nogą trzema pedałami i prawą — czterema.

A po kiego licha ich tyle? — zapytasz. Dla bardzo ważnej przyczyny! — odpowiem. Pedały te umożliwiają zmianę stroju harfy na wszystkie tonacje.

Harfa jest w orkiestrze symfonicznej jedyną przedstawicielką grupy instrumentów „szarpanych”, z których dźwięk wydobywa się przez zarywanie strun palcami. Dźwięk ten ma tak niezwykłą piękność, że nie potrafię go opisać. Starzy mistrzowie malarstwa wkładali harfy w ręce aniołom, gdyż byli zdania, że tylko harfy godne są urozmaicać pobyt w niebie.

Gra na harfie jest niezwykle trudna, a mimo to, lub może właśnie dlatego na harfach grywają przeważnie kobiety.

W następnym numerze omówimy niezmiernie ciekawą historię i budowę fortepianu. Przedtem chciałbym odpowiedzieć na list ob. Jana Ciszewskiego z Gdańska. — Słusznie stawia mi Pan zarzut, że pisząc o pracy kapelmistrza, nie napisałem nic o tym, co to jest i jak wygląda partytura, czyli — nuty, z których kapelmistrz dyryguje. Wszystkich Czytelników, pragnących jakichś uzupełnień wiedzy o orkiestrze symfonicznej, proszę o szybką listowną wiadomość. Jeden dodatkowy felieton poświęcę bowiem specjalnie uzupełnieniom.

J. W.-FF.



DO NIEJ NALEŻĄ REKORDY

W NIEWIELKIEJ salce projekcyjnej zgasło światło. Kilku widzów w skupieniu wpatrywało się w obraz, widoczny na ekranie. I nagle rozległ się na widowni okrzyk:

— Ojej! Jak ja to zrobiłam!...

Światło w salce zabłysło znowu. Jeden z widzów zwrócił się do operatora:

— Proszę jeszcze raz, ale trochę wolniej.

Znów zapadła ciemność i znów na ekranie pojawiła się sylwetka pływaczki, prującej wodę basenu energicznymi ruchami „motylka”. Widz, który polecił operatorowi powtórne wyświetlenie filmu, teraz tłumaczył:

— O, właśnie w tej chwili. Za słabo rzucać ręce do przodu. Traciecie przez to na nawrocie co najmniej jedną dziesiątą sekundy.

Nazajutrz Ewa Szekely poprawiała w basenie błędy, które dostrzegła na filmie. Powtarzała nawroty — jeden, drugi, trzeci... Pod kierownictwem trenera toczyła walkę o jedną dziesiątą sekundy.

Bo cóż — Olimpiada za pasem, a Ewa Szekely, posiadaczka rekordu świata na 100 metrów stylem motylkowym, myśli nie tylko o utrzymaniu prymatu na tym dystansie, ale i o innych jeszcze osiągnięciach.

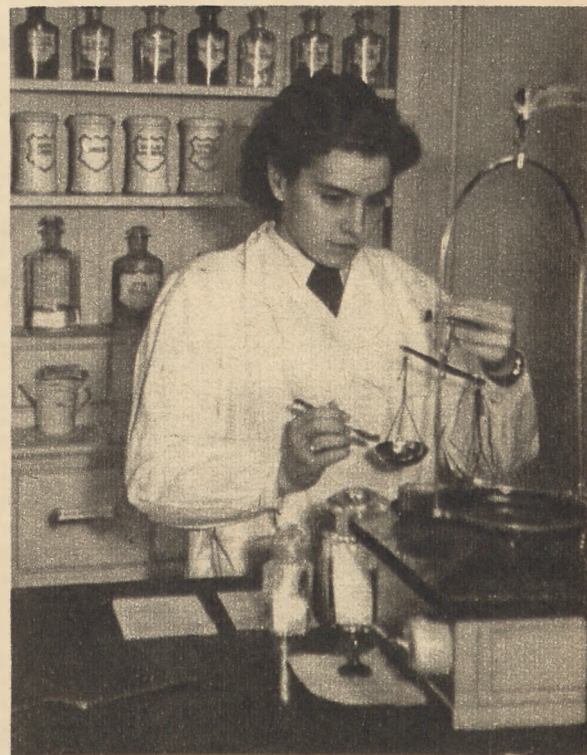
* * *

Kariera sportowa młodej pływaczki jest dość długa: już w 13-tym roku życia Ewa zaczęła osiągać sukcesy. W roku 1946, mając lat dziewięćnaście, Ewa Szekely była nie tylko posiadaczką trzech rekordów Węgier, ale także pierwszą na świecie kobietą, która uczestniczyła w zawodach na dystansie 200 metrów stylem motylkowym. W rok później Ewa — studentka farmakologii — ustala dwa światowe rekordy akademickie.

W 1950 należą już do Ewy wszystkie krajowe rekordy w stylu dowolnym, od 100 m — 1.05,8 (nie wielu mężczyzn w Polsce osiąga taki wynik!) do 1500 m — 21:44,6. W sumie w tabeli rekordów pływackich Węgier widnieje nazwisko Ewy Szekely w 13 miejscach.

Największym jednak sukcesem życiowym Ewy był występ na zawodach pływackich w Moskwie w roku bieżącym. Ewa przepłynęła wtedy 100 metrów motylkiem w czasie 1:16,9, ustanawiając nowy rekord świata. Poprzedni należał do Francuzki Vallery i wynosił 1:17,4 sek.

Ewa Szekely jest w „cywilu” farmaceutką w szpitalu kolejowym w Budapeszcie.



Ukazał się grudniowy 12 70 1951 r. zeszyt miesięcznika

PAŃSTWO PRAWO

Numer zawiera następujące prace:

Konstytucja zwycięskiego socjalizmu (w 15 rocznicę Konstytucji Stalimowskiej)
Tom I Dzieł J. Stalina (przekład polski: Kazimierz Biskupski)
Walka o równą prawą w przestrzeni powietrznej (Cezary Berezowski)
„Traktat pokoju” z Japonią (Manfred Lachs)
Państwowe osoby prawne (Henryk Dawidowiczow)
W kwestii ustalenia wysokości zobowiązań alimentacyjnych (Zbigniew Pawłowski)
Rola i zadania studium zaocznego (Igor Andrejew)
Z życia Zrzeszenia Prawników Polskich.
Poza tym numer zawiera obszerny dział krytyki i sprawozdań, orzecznictwo cywilne, karne i arbitrazowe, Polska Bibliografię Prawniczą oraz streszczenia w języku rosyjskim i angielskim (wkładki).

Adres redakcji: Warszawa, ul. Marszałkowska 8 m. 14, tel. 814-02.

Prenumerata roczna zł 36.—, półroczna zł 18.—. Prenumerata przyjmuje wyłącznie PPK „Ruch”, Warszawa, ul. Srebrna 12, tel. 804-20. Konto PKO Nr. I-14007. Cena pojedynczego zeszytu wynosi zł 3.—

SWIAT

TYGODNIK ILUSTROWANY

Redaguje Komitet

Wydawca: R.S.W. „PRASA”

Redakcja: Warszawa, Nowy świat 58. Telefony: Red. Naczelny: 6-10-69. Centrala 6-11-81, 6-12-88. Administracja: Wiejska 12, tel. 7-52-50. Prenumerata i Kolportaż: PPK „Ruch”, Oddział w Warszawie, ul. Srebrna 12, tel. 8-04-20 do 25. Prenumerata miesięczna zł 4.80 — kwartalna zł 14.40, półroczna zł 28.80, roczna 57.60. Należność za prenumeratę wpłacać do P.K.O. Nr I-21040/110.

Zakłady Wkłēstodrukowe RSW „Prasa”, Warszawa, Okopowa 58. 2-B-47417

Pomnik Poniatowskiego w Łazienkach

KOPIA pomnika księcia Józefa Poniatowskiego rzeźbionego przez wielkiego artystę duńskiego, Thorwaldsena, nadeszła już do Warszawy i niebawem wzniesiona będzie w Parku Łazienkowskim. W ten sposób Polska Ludowa przywraca Warszawie jedną z jej zniszczonych pamiątek i przypomina postać człowieka, który popełnił wielkie błędy polityczne, ale zapisał się w historii dzięki swej pięknej, odważnej i szlachetnej postawie żołnierza.

Ostatnie miesiące życia Józefa Poniatowskiego, to wielki dramat człowieka, rozumiejącego już, że losy swoje i losy Polski związał niefortunnie z egoistyczną polityką Napoleona. Ten 50-cioletni, sterany bojami dowódca — to już inny człowiek niż ten, którego znał dwór Stanisława Augusta. Skrupulatnie notujący wydatki z kasy książęcej, major Axamitowski w notatniku swoim podał suche pozycje, świadczące, że książę teraz ku innym niż dawniej ludziom swą uwagę kierował:

„W Krzeszowicach chłopom... ludziom gospodarskim...” „ubogiemu... ubogiej kobiecie...”

„Za frukta znoszone przez dzieci saskie...”

„Żołnierzowi bez ręki...”

„Śpiewakom niemieckim w Zittau...”

„En bivac w lasach żołnierzom...”

Po wielu latach Jakub Gordon (Maksymilian Jajtowski) w swym pamiętniku „Gdy się było młodym”, wydanym w Lipsku u Brockhause w roku 1871, pisał:

„Przechodniu, gdy w tę stronę zwrócisz swoje oko,

Przybliż się i rozważaj ten napis głęboko”.

„Skoro nas losy do Lipska zagnaty, pójdźmy rozważać napis, bo tak nakazuje stara pieśń narodowa. Trzeba jej być postusznym!”

Pójdźmy tedy odwiedzić pole bitwy i rzućmy gałązkę cyprysu tam, gdzie zginął ulubieniec wiarusów naszych, Poniatowski.

Na krańcu cienistego ogrodu radcy Gerharda szumi wąska, mętna, o stromych, gliniastych brzegach Elstera. Tam leży kamień, a na kamieniu wyryto z jednej strony pałacem, z drugiej po polsku napis następujący:

„Tu, w nurtach Elstery, Józef książę Poniatowski, naczelny wódz wojska polskiego, marszałek państwa francuskiego, trzema śmiertelnymi dotknięty razami, okrywając ustęp wielkiego wojska francuskiego i ostatni uchodząc z pobojuwiska, życia sławie i ojczyźnie poświęconego dokonał, w dniu 19 października 1813.

Tę skromną pamiątkę, łzami swymi skropioną, Polak współrodakowi, żołnierz wódzowi poświęcił”.

W środku ogrodu stoi grobowiec, z którego zwłoki wojownika przeniesiono do Krakowa.

Gdy odwiedzałem to miejsce raz ostatni w 1866 roku, znalazłem je niestety w najgorszym stanie,



w stanie zupełnego opuszczenia. Mówili mi nadto Niemcy, iż udawali się do przejeżdżających magnatów polskich z propozycją o zakupienie gruntu pod rzeczonymi pamiątkami, gdyż ogród przeszedł w ręce nowego nabywcy, odgrzążającego się, że wyrzuci takowe, jeżeli nikt nie załatwi tego interesu.

Nie wiem, co się dalej stało. Wątpię atoli muszę w pomyślny skutek, nie mając najmniejszej wiary w dobrze zrozumiany patriotyzm dzisiejszych kapitalistów, którzy na gruzach rozczwartowanego kraju powiedzieli sobie: „Après nous le deluge!” (Po nas potop!)

Głucha boleść przejmując mimowolnie serce na widok panującego zaniedbania, które jakby cecha bieżącej epoki, na każdym niemal u nas pomniku piętno swe wyciska”.

Pan August Zaleski

JEST jeszcze paru takich naiwnych w Polsce, którzy nie wierzą, a może tylko udają, że nie wierzą w układy emigracyjnych przywódców z niemieckimi odwetowcami. Układy te, jak wiadomo, polegają na przyrzeczeniach oderwania od Polski Ziemi Odzyskanych, a może i czegoś więcej.

— To niemożliwe! — krzyczą naiwni.

Nie tylko że nie niemożliwe, ale przeciwnie, układy takie wynikają ze starych zasad politycznych polskiej burżuazji, na przykład z zasad politycznych emigranckiego „prezydenta” — pana Augusta Zaleskiego. W endeckiej „Myśli Narodowej” z roku 1931 (nr 60, str. 399) coś nieco o zasadach politycznych pana „prezydenta” dowiedzieć się można. Niedyskrecje „Myśli Narodowej” pochodzą z czasu, gdy jeszcze wspólna miłość do Hitlera nie pogodziła zwolenników Piłsudskiego ze zwolennikami Dmowskiego. Otóż przed dwudziestu laty „Myśl Narodowa” pisała o panu Zaleskim, ówczesnym ministrze spraw zagranicznych:

„Podczas wojny europejskiej pan August

znalazł się w Londynie.

Wygłaszał prelekcje, pisał, agitował, czymś kierował... stał na czele...

Taki komitecik informacyjny, o sprawach polskich referujący Anglikom. A w ogóle robił

pan August w opinii, tym razem angielskiej.

Inni pracowali w bawelnie, nafcie, a pan August — w opinii. Dla

Ojczyzny... Nie tylko był zdecydowanym germanofilem, ale i niedo-

wiarkiem... Pierwszym warunkiem Niemców

w chwili ich propozycji pokojowej dnia 12 grudnia

1916 roku było „uznanie Królestwa Polskiego”.

Oczywiście chodziło Niemcom o stworzenie faktu

dokonanego, o uznanie Polski w granicach określonych przez Niemców... Mister August zabiegał

w Londynie w roku 1917 o uznanie Rady Regencyjnej, czyli o aprobatę przez koalicję koncepcji niemieckiej”.

A to Królestwo Polskie Wilhelma II i Beselera

to była właśnie taka Polska, o jakiej dziś marzy

pan Adenauer na łonie Churchilla i Achesona.

Polska nie tylko bez Wrocławia i Szczecina, ale i bez Poznania, Gdańska i bez Górnego Śląska. Nie

ma więc czemu się dziwić, że dziś pan Zaleski

popiera energicznie swoją dawną koncepcję.



Żeromski i Heine

HENRYK HEINE, wielki niemiecki poeta-demokrata, przez Hitlera wygnany był z niemieckiej literatury. W Polsce obecnie odradza się zainteresowanie Heinem. Wyrazem tego jest wydanie ostatnio kilku tomów jego utworów i dyskusja nad przekładami z Heinego na łamach „Nowej Kultury”.

„Świat” przypomina, iż do tłumaczy Heinego należał również... Stefan Żeromski. Otóż na karnecie balu literackiego, który odbył się w Warszawie w dniu 30 stycznia 1902 roku, Żeromski wpisał następujące tłumaczenie wiersza niemieckiego poety:

Wciąż, lilio mych marzeń prześnionych,
Pośpiesz się schylasz nad stokiem
I płacząc rosami srebrnymi,
Oskarżasz mnie w żalu głębokim:
Ach, odejdz, zły kłamco, ode mnie,
Ostrzegły mnie siostry życzliwe,
Że róża, ma piękna kuzynka,
Posiadła twe serce fałszywe.

STOWARZYSZENIE Książkowych Moli pragnie zwrócić dzisiaj Waszą uwagę na nowelę pozytywistyczną, która w tym okresie polskiego piśmiennictwa osiągnęła niespotykany dotychczas poziom artystyczny.

Nowe wydania obejmują nie tylko te pozycje, które wydawcy burżuazyjni uważali za stosowne udostępniać czytelnikowi; wygrzebano także z pyłu niepamięci opowiadania, „obrazki” i nowelki rozsiane po czasopiśmie i na ogół mało znane.

Mimo że pozytywizm jako ruch społeczny tylko w pierwszej swojej fazie miał oblicze zdecydowanie postępowe, cała prawie literatura tego okresu jest postępową, odkrywczą, torującą drogę nowym pojęciom, obalającą mocno zakorzenione przesady. Polska nowela pozytywistyczna zawiera poważny ładunek krytyki społecznej, głównie dzięki swemu realizmowi, t.j. uczciwemu i niezafałszowanemu odbiciu ówczesnej rzeczywistości; przez to samo już stanowi oskarżenie panującego ustroju ucisku narodowego i kapitalistycznego wyzysku.

Bystrej spostrzegawczości **Marli Konopnickiej** — której proza jest równie świetna jak poezja — nie mogła ująć krzywdę chłopstwa i rodzącego się wtedy proletariatu; temu tematowi poświęca wiele miejsca w swej bogatej twórczości. Uczciwość i wrażliwe sumienie prawdziwej artystki podyktowały jej cięte oskarżenie na obłudną filantropię „demokratycznego” Zachodu. Jest nim nowela pt. „**Miłosierdzie Gminy**”. Czytając dzisiaj krótki, typowy obrazek z życia dzieci pracujących na śląskich kopalniach węgla pt. „**Hanysek**”, nie możemy się oprzeć radości, że ten haniebny stan rzeczy uległ nareszcie radykalnej likwidacji.

Adolf Dygasiński niemal równie przejmująco jak Konopnicka maluje krzywdę ludu, wnikliwie i barwnie opisuje także świat zwierzęcy. Tułaczka dziecka o „niewyraźnym rodowodzie” w noweli p.t. „**Na pańskim dworze**”, przyjaźń między samotnym malcem i wiejskim kundlem są — nawet wbrew świadomości pisarza — taranem bijącym w mur przesądów i egoizmów klasowych.

Cóż dopiero powiedzieć o nowelach **Orzeszkowej**, tej (wedle słów Jana Kotta) „najbardziej niepodległej” z pozytywistycznych pisarzy? Ona pierwsza dostrzegła i nazwała po imieniu krzywdę ludu białoruskiego, ona pierwsza wskazała na nędzę i upośledzenie mas żydowskich, ona najgłośniej domagała się zmiany stosunków społecznych.

Ostrość obserwacji i wielkie serce **Bolesława Prusa** wniosły do skarbcza polskiej noweli takie perły jak opowiadanie p.t. „**Antek**”, „**Michałko**” i wiele, wiele innych. Historia o „**Antku**”, wiejskim chłopcu rozmiłowanym w mechanice i budownictwie, dla którego nie ma miejsca w ówczesnym świecie — jest proroczym ukazaniem źródła sił, które w naszych czasach wznoszą wielkie budowle Planu 6-letniego. Gdy w noweli pt. „**Michałko**” czytamy: „...W końcu września rozpadały się deszcze. Robotę (na budowie) przzerwano, pomocników odprawiono. W ich liczbie był Michałko, — zdajemy sobie nagle sprawę z faktu, że dopiero nasza era pokonała nieuchronny dotychczas zimowy głód wielu tysięcy murarzy.

Największą popularnością w kraju i zagranicą cieszył się **Henryk Sienkiewicz**. Mija właśnie 35 lat od śmierci tego wielkiego pisarza, którego polska reakcja wywyższyła na wątpliwy piedestał ideologa szlachetczyzny.

Twórczość Sienkiewicza obfituje w dzieła, podyktowane umiłowaniami i szczerą troską o los polskiego ludu. Obraz wsi polskiej w noweli p.t. „**Szkiele węglem**” — jest może najprawdziwszym i najbardziej artystycznym odbiciem ówczesnej polskiej rzeczywistości; nowela „**Za chlebem**” — to świadome oskarżenie ustroju, który zmusza chłopstwo do emigracji. Wszystkie zaś nowele Sienkiewicza są szczytem zawartości i doskonałości kompozycyjnej, język zaś posiada czystość, celność i prostotę — właściwe tylko największym dziełom sztuki.

S. K. M.



WYNIK KONKURSU „ABECADŁO POLSKI LUDOWEJ”

ROZWIĄZANIE

A — Andrychów	Ł — Łódź
B — Brzeg	M — MDM
C — Częstochowa	N — Nowa Huta
D — Dwory	O — Opole
E — Elbląg	P — Płock
F — Fordon	R — Racibórz
G — Gorzów	S — Starachowice
H — Hrubieszów	T — Tychy
I — Iłowa	U — Ursus
J — Jaworzno	W — Wrocław
K — Kraśnik	Z — Zdzeszowice
L — Lublin	Ż — Żerań

Pierwszy wielki konkurs ogłoszony przez „Świat” przyniósł ponad 2000 odpowiedzi. Najwięcej odpowiedzi nadeszło z województwa katowickiego (ponad 400), następnie z województwa wrocławskiego, z Warszawy, itd. Trafnych odpowiedzi było 594, z jednym błędem — 625.

Najwięcej trudności sprawiły uczestnikom konkursu: Iłowa i Zdzeszowice, jak również Fordon, a nawet Marszałkowska Dzielnica Mieszkaniowa, którą mylono z Muranowem, Mirowem, Młynowem. Te błędy popełniali również — o dziwo — Warszwacy. Tak się bowiem jakoś złożyło, że niemal wszystkie nowe większe dzielnice mieszkaniowe Warszawy noszą nazwy historyczne, zaczynające się literą M, i stąd łatwo o pomyłkę, chociaż należało pamiętać, że największą inwestycją Warszawy w Planie 6-letnim jest MDM.

NAGRODY

Po zamknięciu konkursu dokonaliśmy losowania nagród. Oto wyniki:

- I nagrodę** — radioodbiornik — otrzymuje ob. **Eugeniusz Kowalczyk**, Włodzice Małe, poczta Włodzice Wielkie, powiat Lwówek Śląski.
- II nagrodę** — patefon z 12 płytami — ob. **Władysław Bek**, Bytom, ul. Smolenia 35.
- III nagrodę** — aparat fotograficzny — ob. **Sławomir Dyka**, Warszawa, Akademicka 5 m. 488
- IV nagrodę** — Album „Warszawa w Planie 6-letnim” — ob. **Adam Bajcar**, Wrocław, Gorkicka 22.
- V nagrodę** — Album „Warszawa w Planie 6-letnim” — ob. **Stefan Tuszyński**, Legionowo k/W-wy ul. Daliowa 20.

15 nagród książkowych wylosowali: ob. ob. W. Brudny — Cieszyn, ul. Bielska 58, Czesław Gajda — Legnica, ul. Polna 29, Irena Gruszka — Łódź, ul. Kopernika 45, Wincenty Gwoździński — Brzeg n/Odrą, ul. Słowiańska 6, Jerzy Irzykowski — Gdańsk-Oliwa, ul. Kwietna 3, Zdzisław Kalinowski — Kikół, pow. Lipno, Teresa Kamińska — Ostrowiec Świętokrzyski, ul. Łączna 10, Alicja Mast — Warszawa, ul. Zachariasza 10, Stanisław Nazimek — Łańcut, ul. Dominikańska 1, Celina Pieniążek — Lublin, ul. Szopena 16, Andrzej Sosenska — Kraków, ul. Jasna 7, Zbigniew Stasiłowicz — Poznań, ul. Swoboda 20, Zdzisław Suszczyński — Trzcianko Zdrój, ul. Stalina 19, Jan Szwacha — Kraków/Zakrzówek, ul. Kapelanka 23 i Bogdan Wierzejski — Poznań, ul. Karola Libelta 36.

Ponadto za pomysły i artystyczne rozwiązania konkursu, z których kilka reprodukowujemy, przyznaliśmy dodatkowo pięć nagród książkowych. Otrzymują je: ob. ob. Wacław Chrzęszczewski — Kraków, ul. Wspólna 6, Edward Chyra — Chorzów, ul. Stacyjna 12, Fr. Kretkowski — Szczecin — Port, ul. Gdańska 34a, Andrzej Leman — Łódź, ul. Sienkiewicza 88 i Eugenia Rębilas — Wrocław, ul. Traugutta Nr 133.

Do rozwiązań konkursu wielu Czytelników dołączyli listy, w których dzielą się z nami swymi uwagami. Miło nam ogromnie, że wielu Czytelników podkreśla, iż nasz konkurs skłonił ich do bardziej szczegółowego zainteresowania się Planem Sześciolatnim. Musieli, jak piszą, sięgnąć nie tylko do gazet, ale również zająć się do broszur i przemówień i — co za tym idzie — pogłębić swe wiadomości o naszym wielkim planie rozwoju gospodarczego i budowy podstaw socjalizmu w Polsce. Niektórzy Czytelnicy zwracają uwagę, że dopiero zestawienie naszych budowli 1951 r. unaocniło im całą wielkość Planu, cały jego rozmach, pokazało perspektywę i zachęciło do dalszych wysiłków.

Czytelnik z Poznania słusznie zwraca uwagę, że konkurs nie daje pełnego obrazu naszych osiągnięć i przytacza wiele budowli wykonanych w 1951 r. i mających ogromne znaczenie dla naszego rozwoju gospodarczego. Istotnie, nie sposób było uwzględnić w konkursie wszystkich obiektów, wybudowanych w ciągu dwóch lat Planu 6-letniego. Chodziło nam w konkursie o zachęcenie Czytelników do głębszego i wszechstronniejszego zainteresowania się Planem.

